wolnelektury.pl

Karin Boye
(tłum. Paulina Rosińska)

Astarte

Dofinansowane przez Unię Europejską

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

KARIN BOYE

Astarte

TŁUM. PAULINA ROSIŃSKA

PREZENTACJA

Eksperci od reklamy, obaj ze Sztokholmu, odchylili się w obitych skórą fotelach, po czym jeden i drugi nieco przekrzywił głowę, uczesaną z idealnym przedziałkiem, by z większą uwagą przyjrzeć się obiektowi z perspektywy — można rzec — publiczności. Obiektem była wysoka, szczupła figura kobiety, wykonana z drewna i pozłacana, zaprezentowana w lekko wystylizowanej postawie: biodro cofnięte, szyja i ramiona wysunięte do przodu, zaś ręce swobodnie, acz trochę niezdarnie uniesione w geście, który w istocie nie wyrażał najmniejszego choćby poruszenia duszy, przestrachu, tęsknoty czy też radości, za to cieszył oko grą subtelnych, łagodnych linii.

— No — powiedział pan Landers — przystojna kobieta.

Słynny artysta, zajmujący się reklamą, Sigfried Kauz, zwrócił ruchliwą, ostro zarysowaną twarz do swojego rozmówcy, a jego małe oczy roziskrzyły się przekonywająco.

— Ależ skąd — obwieścił. — To nie kobieta. To bogini.

Landers roześmiał się.

— Może bogini reklamy? Czy też bogini mody? Nie wydaje się stworzona do noszenia ubrań, mam rację?

Kauz pochylił się w przód z tajemniczą powagą.

— Stoi pan przed obliczem bogini wyższej rangi — powiedział. — To wcielenie Astarte[1], która żąda, by składać jej w ofierze ciała i dusze.

— Darzę Astarte najwyższą czcią — stwierdził Landers, po czym skłonił się szarmancko przed pięknym manekinem. — Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że takie bóstwo zniży się do działania w służbie reklamy.

— Żyjemy w czasach zeświecczenia — odrzekł artysta, wzruszając ramionami w nonszalanckim geście żalu. — Człowiek interesu musi wykorzystywać nawet i bogów. A które z bóstw jest potężniejsze od Astarte? Niebo i ziemia leżą u jej stóp. Jeśli jednak biznesmen potrafi ją na tyle okiełznać, by mu służyła, to czyż nie zyska w ten sposób najsilniejszej i najsprytniejszej sojuszniczki? A i owszem. Zresztą biznesmeni każdej epoki szukali u niej wsparcia. Ale świadomie, z rozmysłem wykorzystywać jej boską moc? Coś takiego możliwe jest dopiero w naszych czasach. Triumf sekularyzacji! Triumf reklamy!

Kauz pieszczotliwym gestem powiódł w powietrzu wzdłuż boku manekina. Jego czuła, a zarazem brutalna dłoń zdawała się wykonywać finalny ruch w misternym akcie kreacji.

— Mówi pan, że nie wygląda na stworzoną do noszenia ubrań — podjął. — To jak najbardziej słuszna uwaga. Ma uniesione ręce, by tkanina spływała po jej sylwetce niczym draperia, nie osłaniając całkowicie nagości ani jej w pełni nie eksponując.

— Ale dlaczego ją pan pozłocił? — zapytał Landers. — Jest przez to nierealistyczna. Żywa kobieta tak nie wygląda, poza tym w rzeczy samej nie sądziłem, że Astarte...

— Bogini najchętniej ukazuje się okryta, by nie oślepiać oczu śmiertelników — odpowiedział Kauz. — Pod werniksem kultury czają się pierwotne popędy, a tych nie wolno puścić luzem, można je tylko prowadzać na smyczy. I ja je właśnie tak prowadzam. Ale pod pozłotą przyzwoitości, rozumie pan, żeby nie przerazić żadnego spośród tych maluczkich... Wziąłem jeden element kobiecego ciała: formę, natomiast usunąłem kolor.

[1] *Astarte* a. *Asztarte* — kananejska i fenicka bogini miłości, płodności i wojny, utożsamiana z babilońsko-asyryjską Isztar, z sumeryjską Inanną (Panią Niebios), a także z grecką Afrodytą. [przypis edytorski]

Można było też postąpić odwrotnie: pozostawić kolor, a zeszlifować formę. *Coś* jest koniecznością — lecz *wszystko* jest nadmiarem.

Młodszy spośród dwójki ekspertów do spraw reklamy, który do tej pory siedział w milczeniu, odchrząknął, po czym odezwał się rzeczowym, energicznym tonem:

— Chciałbym zapytać o kilka szczegółów. Po pierwsze: istotnie prawdopodobne jest, że taki manekin będzie przykuwał uwagę, co samo w sobie stanowi korzyść. Jednak owa uwaga powinna przecież zatrzymywać się nie na nim, a na towarach. Pytanie brzmi, czy to właśnie ma tu miejsce. Innymi słowy: czy taka reklama jest trafna?

Artysta z ironicznym skupieniem patrzył na niego spod przymrużonych powiek. Odezwał się głosem łagodnym i przeciągłym niczym cierpliwy nauczyciel do pilnego, acz nieuzdolnionego dziecka.

Obraz świata, Społeczeństwo, Władza

— Drogi panie — zaczął — naprawdę sądzi pan, że człowiek jest praktyczny? Że jego uwaga jest praktyczna? Może w przypadku obytego sprzedawcy, ale w odniesieniu do przeciętnego klienta nigdy! Widziałem ludzi pod sklepikiem obuwniczym, którzy wpatrywali się jak zaklęci w strzałkę na końcu skręconego spiralnie drutu, poruszającą się w górę i w dół, w górę i w dół nad wystawionymi tam butami. Te zaś nie miały w sobie nic szczególnego, ale rytmiczne ruchy strzałki przemawiały do instynktu patrzących. Cóż, nie zamierzam twierdzić, że ich uwaga przeniosła się w tym przypadku na towary, były one bowiem zbyt luźno powiązane ze strzałką. Rolą tkaniny natomiast jest w istocie podnieść atrakcyjność kobiety w nią ubranej, nie sądzi pan? Ma ona zatem wiele wspólnego z moją Astarte. W przeciwnym razie mógłbym przecież stworzyć funkcjonalistyczny[2] wieszak z metalowej rury; przemówiłby do biznesmenów i artystów, których ciągnie do abstrakcjonizmu[3], ale nie do przeciętnej kobiety. Niech pan łaskawie zwróci uwagę, że to nie sam widok obiektu rozpala pańską żądzę (młody ekspert od reklamy wyglądał na zakłopotanego), lecz skojarzenia, które ów widok wywołuje. Często dane skojarzenie jest tak bezpośrednie, że nie wymaga dodatkowego zaakcentowania. Gdy potrzebuje pan nowego kapelusza, gdy faktycznie odczuwa pan jego brak, wtedy skusi pana witryna z kapeluszami, choćby i najgorzej zaaranżowana. Kto natomiast potrafi owe skojarzenia zaakcentować, wydobyć na powierzchnię, skierować w kanały, w których swój początek biorą najsilniejsze nurty, ten przejmuje władzę nad potrzebą, wywołuje ją, steruje pragnieniami świata. Mój manekin jest sternikiem skojarzeń. Pan być może należy do tych, co sądzą, iż człowiek ubiera się powodowany tajemniczą siłą natury, zwaną Gustem — kontynuował. — No tak, gust... Ale czym on jest? W trzech dziesiątych składa się z doświadczenia, pozostałe siedem dziesiątych to wątpliwe, romantyczne ideały najróżniejszej maści. Widziało się znaną aktorkę w podobnym stroju albo pamięta się z wczesnego dzieciństwa elegancką ciotkę, która zawsze miała beżową wstawkę z koronki przy dekolcie. Być może lubi się niewielki, ledwie widoczny męski detal w ubiorze; wcale nie jest się jak inne kobiety, a w przypływie szczerości jest się, patrzcie tylko, prawie jak mężczyzna. Albo choćby symboliczną aluzję do niemowlęcia... Cóż to szkodzi, skoro nie ukończyło się jeszcze sześćdziesiątki? Młoda niewinna dziewczyna pała chęcią upodobnienia się do rodziny Borgiów[4], ma bzika na punkcie renesansowych czepków, w których bezsprzecznie jest jej nie do twarzy. Tak właśnie wygląda ów indywidualny gust.

— Zgoda — powiedział młody dyrektor do spraw reklamy — rozumiem. Zamierzałem jednak zapytać jeszcze o rzecz następującą: przecież chce pan dotrzeć do kobiet. Gdyby chciał pan dotrzeć do mężczyzn, taka „Astarte", jak ją pan nazywa, byłaby, rzecz jasna, silnym magnesem. Ale co z kobietami?

— W takim razie zupełnie mnie pan nie zrozumiał — odparł Kauz z niezmiennie anielską cierpliwością, tym bardziej zaskakującą, że poza tym nie miał w sobie ani jednej cechy, ani jednej właściwości, której można by przypisać anielskość. — W takim razie zupełnie mnie pan nie zrozumiał. Sądzi pan, że pragnę wywołać zakochanie? Cóż, sko-

[2] *funkcjonalistyczny* — związany z funkcjonalizmem, nurtem w architekturze utożsamianym zazwyczaj z głównym prądem modernizmu (tzw. styl międzynarodowy). [przypis edytorski]

[3] *abstrakcjonizm* — nurt we współczesnych sztukach plastycznych, charakteryzujący się wyeliminowaniem przedstawień mających odniesienie do rzeczywistych form lub przedmiotów. [przypis edytorski]

[4] *Borgiowie* (wł. *Borgia*) — wpływowy włoski ród, który osiągnął szczyt swej potęgi w epoce renesansu; znany także ze względu na okrutne zbrodnie, których popełnienie przypisywano członkom tej rodziny. [przypis edytorski]

ro tak, to w istocie pragnę wydobyć na jaw ów szczególny rodzaj zakochania, które już istnieje, istniało od zawsze: moje zakochanie we mnie samym!

Uderzył się w pierś w komicznym geście, który Landersa rozśmieszył, a tego drugiego poruszył w nieprzyjemny sposób. Artysta wydał się mu nazbyt cyniczny. Przyzwoity człowiek nie kocha siebie samego, co najwyżej żywi do własnej osoby szacunek.

— Ach, istnieją inne rodzaje zakochania, tyle różnych rodzajów — westchnął Kauz i pokiwał głową. — Jest zakochanie w ludziach, pieniądzach, pieskach salonowych, rokokowych fotelach, obrazach... Może mieć ono temperaturę dwóch stopni albo osiągać punkt wrzenia, może trwać pół minuty albo wiele lat. Tego ostatniego rodzaju nie chcę wywoływać. Wprost przeciwnie, wolałem go unikać.

Przerwał, po czym odwrócił się i zlustrował złotą twarz manekina o drobnych wiśniowoczerwonych ustach i wąskich łukach brwi nad czarnymi, migdałowymi oczami.

Dusza

— A co pan powie o jej duszy? — zapytał ni stąd, ni zowąd.

Ten o energicznym głosie nie krył zdenerwowania.

— Co to, to nie, podziwiam pańskiego manekina i doceniam jego walory jako dekoracji, ale proszę wybaczyć, nie znajduję w tym kawałku drewna ani grama duszy. Przecież nawet rysy tej lalki nie są realistyczne, a jedynie ledwie zaznaczone. W jej twarzy nie ma śladu intelektu czy poczucia moralności, podobnie zresztą jak w postawie jej ciała. Niech pan nie sądzi, iż jestem na tyle głupi, by takie wymagania stawiać wobec manekina w witrynie sklepowej. Ale skoro już pan mnie o to pyta...

— Właśnie, dlaczego lalka sklepowa miałaby potrzebować duszy? — wtrącił uspokajającym tonem Landers.

— Dlaczego Astarte miałaby potrzebować duszy? — skorygował artysta podniośle. — O, nie, ona jej nie potrzebuje. Do tego właśnie zmierzałem. Astarte jako taka nie ma rysów, to o wiele późniejszy wynalazek, podobnie jak dusza... Gdy zmienimy natomiast perspektywę metafizyczną na handlową, dla salonu mody to prawdziwe szczęście, że Astarte duszy nie posiada. Dopiero co mówiłem o zakochaniu w innych ludziach, rzeczach. Uniknąłem zakochania, unikając rysów i duszy. Uniknąłem indywidualności. Pozostał jedynie rudyment.

— Nie rozumiem — powiedział energiczny.

(W jego głosie dało się słyszeć, że ów fakt napawa go dumą).

Kobieta

— Nie rozumie pan, że z tego wszystkiego, co odróżnia jedną osobę od drugiej, nie pozostało tu nic do pokochania? Tu jest już tylko Płeć, ale to płeć w jej najbardziej uwodzicielskiej i pewnej swego zwycięstwa formie. Kobieta, która, mijając wystawę, uchwyci istotę samej siebie w oderwaniu od indywidualności, rozpozna własne skryte pragnienia, z satysfakcją ujrzy siebie w skończonym pięknie drugiego ja. Na moment ona i lalka stają się jednym. Przepraszam, ona i bogini. W poczuciu, że jest się dwiema osobami, nie ma zgoła nic dziwnego. Z pewnością przytrafiło się to panu czasem we śnie. Warto jednak zwrócić uwagę, że owo słodkie zakochanie w samym sobie, wywoływane przez manekina, z łatwością, z ogromną łatwością rozciąga się na tkaniny, spływające z jego ramienia. Bo przecież w takim usposobieniu czyż istnieje coś, co będzie wystarczająco dobre dla owego „ja", które jest kochane, czy też raczej dla owej Płci, w której budzą się samoświadomość i marzenia o zwycięstwie? Tak oto mamy w swoim ręku najpotężniejszą ze wszystkich mocy, badamy ją, wykorzystujemy...

— To nawet niezłe — stwierdził Landers. — Zdaje mi się, że ma pan nieco skłonności do metafizyki. W końcu jest pan Niemcem. — Mile połechtany Kauz skłonił się w odpowiedzi. — Tak czy siak, rozumiem doskonale, jak to działa. Tylko nie trzeba było z początku nazywać manekina boginią, a zwłaszcza Astarte. Uległem nieco przesądom, przez co zrobiło mi się nieswojo.

Obraz świata, Pieniądz

— Bogini pohańbiona. Przestraszył się pan? — Kauz roześmiał się. — Dokona zemsty? Możliwe. Ale dlaczego akurat na nas? Przecież wiemy, co robimy. Przede wszystkim pobłogosławi pańskie źródło utrzymania, a także, śmiem mieć nadzieję, moje. Przynajmniej uniknie bezrobocia. To nie są czasy dobre dla bogów. Nawet najdumniejsi muszą zniżyć się do służby jednemu prawdziwemu bogu: Mamonie.

Energiczny dyrektor był w głębi serca dość mocno zbulwersowany lekceważącym tonem słów artysty. Lubił w święta chodzić do kościoła. By zakończyć rozmowę, której i tak wkrótce groziło zejście na tematy mało handlowe, powiedział:

— Z punktu widzenia reklamy lalka ta wydaje się dobrym pomysłem. Jako reprezentant firmy potwierdzam, że ją bierzemy.

Landers przytaknął kiwnięciem głowy. Energiczny mówił dalej:

— Jeśli zaś chodzi o pozostałe lalki, o manekiny, chciałbym zmienić nieco sylwetkę. Niech pan spojrzy. — Wziął do ręki magazyn. — To jest ostatni krzyk mody, będzie obowiązywać w tym sezonie. Mógłby pan jednak spłaszczyć nieco linię bioder i podciągnąć ją trochę wyżej? Taka figura najlepiej pasowałaby do naszych modeli, a zdaje pan sobie z pewnością sprawę, że inne przedsiębiorstwa z tej branży mają podobną opinię w tej kwestii, zatem wprowadzenie zmiany będzie korzystne również dla pana.

Kauz z uśmiechem zerkał spod przymrużonych powiek na wąskie rysunki modeli, przypominające rozciągnięte gumki do bielizny.

— Żadna kobieta tak nie wygląda — powiedział — i na szczęście nigdy nie będzie, z pożytkiem dla przedłużenia gatunku. Lecz ideał powinien pozostać nieosiągalny, jak to mówią. *Si Dieu n'existait pas*[5]... Tak samo jest z tymi biodrami. *All right*[6], grunt, by modele się sprzedawały. Zrobię, co w mojej mocy.

Obaj panowie podpisali swoje zamówienia, po czym wstali, ukłonili się i wyszli.

Na ulicy Landers, z ledwie wyraźnym uśmiechem, zapalił cygaro.

— Tak, powiem jak królowa w *Hamlecie*[7]: „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele"[8]. Zobaczymy, czy dotrzyma słowa. Wywiem się później, jakie wrażenie zrobi na mojej młodej bratanicy, która jesienią przyjedzie do Sztokholmu z Riltuny; ot, mieścina w szczerym polu. Jak to dziwnie dziś brzmi: w szczerym polu.

— Czyżby sądził pan, panie Landers, że w obecnych czasach nie ma już nic szczerego?

— Ależ jest, na tyle, na ile sytuacja tego wymaga, jak to się mówi. Myślałem raczej o tym, że miejsca przybliżyły się do siebie. Riltuna... Cóż to takiego, mógłbym dotrzeć tam pojutrze, gdybym chciał. Ale nie będziemy filozofować. Dziękuję panu za miłe towarzystwo, panie Westman. Przyjemnie było pana poznać. Liczę, że spotkamy się jeszcze kiedyś w Sztokholmie.

Wełna

Panna Jansson ubiera manekiny na wystawie dużego salonu mody. W tym roku obowiązuje tweed, niebieski melanż, sól i pieprz, brązowy melanż... Lekkie komplety spacerowe, praktyczne w swojej prostocie, do tego mały sportowy kapelusz bez ozdób — samowystarczalne, staranne, konkretne, do biura, jak i na spacer wzdłuż Strandvägen[9] oraz przedpołudniową przechadzkę po sklepach.

Moda

Moda nie powstaje z przypadku. W jej zmianach odzwierciedla się duch czasu, swoiste dla owego ducha jak i młodego pokolenia usposobienie oraz wartości. Prosta spódnica noszona przed południem, która nie może być za długa, wyraża kobietę kompetentną na polu zawodowym, partnerkę dla mężczyzny w pracy i w sporcie. Dyskretne kolory — a zarazem jakże wyrafinowane! — subtelnie akcentują powagę i obowiązkowość. Natomiast peleryna, miękko opadająca na ramiona, faluje poruszana powiewem z romantycznej krainy marzeń; nie chodzi tu jednak o sielankowy romantyzm, który miał się dobrze w starych ziemiańskich dworach wśród kwitnących jabłoni, lecz o inny, bardziej mroczny i surowy, taki, którego aura wciąż jeszcze spowija podróż i przygodę. Bo czyż ta pelerynka nie przypomina nieco skrzydeł? Podróżny to tajemniczy ptak, którego bystre oczy skrywają wiele pytań. Skąd przybywa nieznajomy? Co widział, co robił w obcych krajach? Lecz to nie tylko podróżny, od dawien dawna osłaniający się peleryną — to również poszukiwacz przygód... Dżentelmen zawadiaka, który w powieściach krymi-

[5] *Si Dieu n'existait pas* (fr.) — cytat z tekstu *Épître à l'Auteur du Livre des Trois Imposteurs* autorstwa Voltaire'a (1694–1778); w pełnym brzmieniu: *Si Dieu n'existait pas, il faudrait l'inventer* („Gdyby Bóg nie istniał, należałoby go wynaleźć"). [przypis edytorski]

[6] *All right* (ang.) — w porządku, zgoda. [przypis edytorski]

[7] *Hamlet* — dramat autorstwa Williama Shakespeare'a (1564–1616). [przypis edytorski]

[8] *Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele* — cytat z *Hamleta* autorstwa Williama Shakespeare'a (1564–1616); w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego (1817–1861) cały ten fragment brzmi następująco: „Królowa: Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele. Hamlet: O, ale dotrzyma słowa". [przypis tłumacza]

[9] *Strandvägen* — ulica o charakterze bulwaru, zabudowana kamienicami, położona w centrum Sztokholmu, w ekskluzywnej dzielnicy Östermalm. [przypis tłumacza]

nalnych skrada się po pogrążonych w mroku schodach, nocny mściciel, działający poza prawem i społeczeństwem, któremu złoto daje jednak władzę, jakiej nie ma nikt inny... Znika praktyczna powaga. Możliwe, że proste linie to pozór. *Zielony kapelusz*[10], „*pour le sport*"[11] — czy w rzeczy samej oznacza on prostotę i konkret? Pędzący ze świstem, elegancki sportowy samochód — czyż istotnie jest przejawem triumfu pracy?

Uniesione z gracją ramiona pozłacanej kobiecej sylwetki spowija tweed w wyszukanych odcieniach, ciepła, miękka wełna o misternym splocie. Przygaszone tony czerwieni i zieleni zyskują głębię na tle matowego złota i przesycają promieniami ciepła pierwszy jesienny chłód.

Daleko, na szkockich wyżynach pasą się w wilgotnej mgle stada owiec. W ciszy rozbrzmiewa dzwoneczek, smętnie, a zarazem swojsko i uspokajająco. W letni dzień godziny trwają — długie, senne, szare; niebo jest jednolite i szare, cisza jednolita i usypiająca. Pachnie mokrą trawą, mokrą macierzanką i mokrą ziemią, pachnie wilgocią i chłodem, a gdy odwrócić głowę — owcami, stadem i bezpieczeństwem.

Zwierzęta

Owce mają stare oblicza, same też są stare. Gdy odchylają głowy i beczą, ich pobekiwania brzmią niczym tęskne echo, dochodzące z szarej głębi prawieków. Stada owiec, grzbiet przy grzbiecie jak fale na morzu, były przy Abrahamie[12] i Locie[13], gdy ci powoli przemieszczali swoje szałasy, dzień po dniu, po równinach Mezopotamii[14]. Już wtedy spijały rześkie zapachy, patrzyły ze spokojem na ginące w oddali wzgórza, łagodnym pobekiwaniem przerywały ciszę, zaś człowiek prowadził je dalej i dalej, ku niecierpliwie wyczekiwanym nowym królestwom, które miał wziąć w posiadanie. Każda trawiasta równina przynosiła takie samo szczęście jak inna, w wiecznej teraźniejszości nie było miejsca na tęsknotę; jedynie człowiek był nienasycony, zmusił stworzenie, by podążało za nim w niekończącej się wędrówce ku Ziemi Obiecanej[15]. Pewnego dnia pasterz schwytał przeżuwające zwierzęta — jedno po drugim — i powiązał im nogi. Ogarnął je strach! Jednak po kilku przerażonych wierzgnięciach, gdy zimny metal dotknął ich ciepłej skóry, zastygły w bezruchu, a wełna poddawała się nożycom i opadała w dużych kłębach, choć same owce nie pojmowały, dlaczego tak się dzieje ani nawet nie potrafiły się nad tym zastanowić. I pewnego wieczora przyszli mężczyźni, i wybrali ze stada jagnięta i barany, i zanieśli je na ołtarz ułożony z pozbieranych kamieni, a wtedy zwierzęta wierzgały tak samo gwałtownie i beczały tak samo bezradnie — tym razem jednak nie zdążyły się uspokoić, albowiem w owej chwili chodziło o życie. Ale nie przeczuwały znaczenia wąskiej smugi dymu, która wydobywała się ze stosu kamieni i pięła ku gęstniejącym, burzowym chmurom; nie wiedziały nawet, że istnieje powód, by coś przeczuwać. I tak ostrzyżono ich wełnę i odebrano im życie w wyższym celu, a posłuszną i łagodną owcę przedstawiono jako obraz cierpliwej ofiarności. Ale o czym tu w ogóle mówić? Ich ofiara nie była wielka. Im bowiem każda trawiasta równina przynosiła takie samo szczęście jak inna, zaś w wiecznej teraźniejszości nie było miejsca na tęsknotę.

Tymczasem wzgórza Południowej Afryki i wyżyny Australii są czerwone od owczej krwi i białe od owczej wełny. W porze strzyżenia owiec kłęby wełny opadają na ziemię niczym tłusty, żółty śnieg, potem prasowane są w duże bele i ładowane na duże statki. Hen, za morza!

Gdy słyszymy o odległościach, dzielących układy słoneczne, nie doznajemy zawrotów głowy. Liczby te są zbyt wielkie, by objąć je myślą. A gdy mówimy: „Pomyśl!" , udajemy zdumienie, którego nie odczuwamy. Tak samo jest z przepastnymi głębinami mórz. Wiemy, że pod powierzchnią chłostaną sztormem kryje się bezwietrzna otchłań

[10]*Zielony kapelusz* — w szwedzkim oryginale użyto tutaj kursywy (w ten sposób zapisuje się tytuły po szwedzku); być może to aluzja do powieści *Zielony kapelusz* Michaela Arlena (1895–1956), wydanej w szwedzkim przekładzie w 1925 r. [przypis tłumacza]

[11]*pour le sport* (fr.) — dla sportu. [przypis edytorski]

[12]*Abraham* — bohater biblijny, pierwszy z hebrajskich patriarchów. [przypis edytorski]

[13]*Lot* — bohater biblijny, bratanek patriarchy Abrahama. [przypis edytorski]

[14]*Mezopotamia* — kraina na Bliskim Wschodzie w dorzeczu Tygrysu i Eufratu; w starożytności rozwijało się tutaj wiele różnych kultur i państw (Sumerowie, Akadyjczycy, Asyryjczycy, Amoryci, Huryci, Kasyci, Chaldejczycy), kontynuujących jednak wspólne dziedzictwo kulturowe. [przypis edytorski]

[15]*Ziemia Obiecana* — biblijne miejsce, będące celem wędrówki Izraelitów po wyprowadzeniu ich przez Mojżesza z Egiptu. [przypis edytorski]

gęstniejącego mroku, i wpatrujemy się w owe warstwy wody, w których powoli gubi się światło — jak gdybyśmy zaglądali w marzenia senne śpiącego.

Marzenie, Morze

Od czasu do czasu wydobywane są na wierzch przeróżne bestie: ślepe albo fluorescencyjne istoty z wiecznej ciemności, drapieżne ryby o ogromnych zębach, baśniowe potwory o wijących się mackach. To marzenia senne morza! I wytrzeszczamy oczy, lecz w gruncie rzeczy owe stwory nie budzą w nas przerażenia, bo czyż my sami nie zostaliśmy wyśnieni przez moce, o których sądzimy, co tylko nam się podoba; moce, które stwarzają najprzedziwniejsze formy z żywej materii, z krwi i kości?

Lecz bardziej niezwykłe od morskich potworów są wielkie statki. Są one bowiem złożone z elementów martwej materii, żelaznych belek, blachy pancernej i nitów, a mimo to żyją własnym życiem, wędrują, choć nie mają chęci działania, omijają przeszkody, choć nie widzą, wyją, choć nie doświadczają bólu, żywią się czarnym węglem, choć nie czują głodu ani nie posiadają zmysłu smaku. To nie jest marzenie morza, to marzenie człowieka. Zaś najbardziej obce i przerażające w wielkich statkach jest to, że choć same są bez życia, decydują o życiu tysięcy.

Maszyna, Natura

Wszechmocny człowiek! Wędrowiec widzi okręty, sunące niczym zwycięskie kolosy w stronę nabrzeża, by rozładować i załadować, a w jego sercu wzbiera duma — potęga bestii to jego dzieło, dzieło człowieka! Chwytaki wciągarek opadają na wagony z węglem, zagłębiają się między bryły, nabierają w paszczę gigantyczną masę, podnoszą się z mocno zaciśniętymi szczękami, po czym przesuwają się nad oczekujące statki, by bezwolnie się rozdziawić i z niezmienną precyzją wypluć swą zdobycz. Jeden tylko mężczyzna kieruje maszyną, mężczyzna, który nie zdołałby unieść więcej niż ułamek tego, co zagarnął chwytak. Wędrowiec obserwuje go z życzliwym podziwem — oto człowiek, pan sił natury.

Władza

Cóż z tego, że nosi niebieską bluzę roboczą, a dłonie ma spracowane i czarne. Na to władca może sobie pozwolić, jeśli jest pewien swego panowania. W istocie stanowią one insygnia jego władzy. Jego twarz nie przypomina jednak twarzy władcy. Przymiotem władcy nie jest gburowate posłuszeństwo. A pochylona postawa nie oznacza wyłącznie chwilowego zmęczenia. Kto tu właściwie jest panem — człowiek czy maszyna?

Zmierzcha — na statkach świecą się zielone i czerwone światła nawigacyjne, w wodach portu odbijają się latarnie nabrzeża i blask z okienek kajut. O tej porze marynarze garną się do burdeli, do miłości, na którą statek i morze dały im *placet*[16]. Uderzając o czarne kadłuby, wyrastające z wody niczym niezdobyte twierdze widma, drobne, brudne fale nucą swe pochwalne pieśni.

Tymczasem bele wełny przewozi się z portów do ośrodków przemysłowych pociągami sunącymi po lśniących szynach, nasypy są czarne od sadzy. Lasy węgla kamiennego, które w parnym gorącu bujnie rosły przez ciągnące się leniwie miliony lat, gdy płazy taplały się w przybrzeżnym błocie szerokich rzek, wreszcie zyskały przeznaczenie — są wykorzystywane, by karmić najbardziej niestrudzoną z kultur i rozsiewać przesycony ciepłem pył niczym brudnoszarą mgłę nad krajobrazem o roślinności dużo bardziej niezwykłej niż ta z okresu karbonu; lasy prostych, solidnie wymurowanych kominów fabrycznych, które niczym filary podpierają ciężkie, szare niebo, nieustający nigdy w swej pracy pomnik zwycięstwa myśli człowieka i jego woli. Myśli? Woli? I znów — człowiek? Nie są jednak zwycięzcami ci, którzy wędrują do fabryk, gdy w półmroku poranka rozbrzmiewa gwizdek parowy, nie są zwycięzcami ci, którzy z rozgorączkowanym wzrokiem pokornie obsługują krosna. Jaka będzie dzisiaj przędza? Od tego zależy dzienny zarobek. Czółenka latają jak jaskółki, jak strzały, szybciej od jaskółek i strzał, tak szybko, że oko za nimi nie nadąża. Dzisiaj przędza jest dobra, wytrzymała. Dzięki Ci, łaskawy Boże! Dzięki wam, łaskawe wrzeciona w przędzalni! Dzięki wam, zawiłe i niepojęte, dudniące, warkoczące moce! Zważ, nieskończona w swej dobroci maszyno, że tak mój mąż, jak i szwagier nie mają pracy, jak długo jeszcze? Weź pod rozwagę, wszechmocna konstrukcjo ze stali, że moja siostra wkrótce urodzi dziecko — wielkie nieba, co teraz z nimi będzie?

Panna Jansson ubiera manekiny na wystawie. W tym roku obowiązuje tweed. Proste, dalekie od ekstrawagancji modele odzwierciedlają ducha czasu — praktyczna codzienność, urozmaicona dodatkiem w formie peleryny, która wnosi delikatny powiew sporto-

[16] *placet* (łac.) — dosłownie: „podoba się"; urzędowa forma wyrażenia zgody przez Kościół katolicki, a w średniowieczu także przez władzę świecką. [przypis edytorski]

wej i gangsterskiej romantyki. Jeśli chcesz poznać atmosferę czasu, uchwycić usposobienie młodego pokolenia, spójrz na przestronne witryny! Tam wyzwolenie kobiety wyraża się w wełnie w szary melanż, tam z konkretnych, rygorystycznych linii bije triumf techniki. A ów duch czasu jest tak piękny, że nie ma kobiety, która, przechodząc obok, nie rzuciłaby tęsknego spojrzenia na jego wyeksponowany splendor...

Riltuna rozwija się

Był taki czas, gdy riltuński kościół znajdował się w samym środku tej wsi.

Małe domki, płoche i niepokaźne na tle solidnej twierdzy Pańskiej, cisnęły się niczym kurczęta szukające schronienia pod skrzydłami kwoki. A wokół tych bojaźliwych, podchodzących bliżej, Maria Panna rozpościerała płaszcz tak niebieski jak wspomnienie letniego nieba z dni dzieciństwa. Jej nieskalanej czystości nie mógł dosięgnąć nikt, ale przecież i ona była matką, tak samo jak tutejsze wiejskie kobiety, i gwiazdą miłosierdzia.

Jej wizerunek zmiotła reformacja, lecz kościół był nadal matką, trwałą ostoją, która zapewnia bezpieczeństwo; dźwięk dzwonów ostrzegał przed złymi mocami, świece na ołtarzu odpędzały mrok, a nadchodzące święta rozjaśniały dzień powszedni.

Miasto

A potem Riltuna stała się miastem. Domy parterowe mieszały się z piętrowymi, a ulice przyrastały jedna po drugiej niczym słoje drzewa, wciąż wokół tego samego ośrodka.

Lecz gdzieś w tym upływie czasu nastąpiła pewna zmiana; trudno powiedzieć, kiedy to się stało. Ten, kto ze szczytu Viberget[17] spojrzy na Riltunę, odniesie wrażenie, jakby punkt ciężkości miasta zmienił położenie. Mimo wieży kościół nie jest już bynajmniej najokazalszą budowlą, zdaje się znajdować niejako na uboczu, zapomniany, poza nawiasem. Domy, które jeszcze stoją dokoła niego, pozostały małe, bo wywodzą się ze starych czasów, i rzeczywiście mają w sobie coś staroświeckiego, coś wzruszającego, a zarazem budzącego litość, na podobieństwo leciwych, steranych wiekiem staruszek. To zrozumiałe, że chcą trzymać się blisko cmentarza, gdzie wkrótce spotkają się z innymi starcami, zaś oczyma wyobraźni można już dostrzec ich następców, którzy powstaną w tym miejscu w ledwie kilka miesięcy — wysokie, piękne, murowane domy o czterech kondygnacjach. Wtedy kościoła już niemal w ogóle nie będzie widać.

Nowym punktem ciężkości nie jest jeden budynek, a całe ich skupisko. To duże, solidne, nowoczesne domy z cegły, stojące przy obu głównych ulicach, których punkt przecięcia wygląda na centrum. (Nie jest to zresztą jedynie kwestia wyglądu, można się łatwo o tym przekonać, pytając o wysokość czynszu). Wszystkie co bardziej znaczące sklepy znajdują się przy tych dwóch ulicach, natomiast samo centrum opromienia duma Riltuny — ogromna witryna salonu mody w nowiutkim budynku o dużych przestrzeniach — a wszystko to sprawia, że kamienica obok, która wcześniej imponowała trzema kondygnacjami, teraz zdaje się być rozpaczliwie nie na czasie. W dodatku mówi się, że riltuński salon mody jest blisko związany z podobnym przedsiębiorstwem w Sztokholmie.

Gdy panna Tunegård z Uniwersytetu Ludowego Solliden idzie ulicą Storgatan, przystaje mimowolnie, by podziwiać nowe lokale i wystawy sklepowe. Riltuna rozwija się. Riltuna się modernizuje. Wprawdzie panna Tunegård — jako entuzjastka kultury — wolałaby, by w mieście budowano wyłącznie domy z drewnianymi, zdobionymi gankami w starym dobrym stylu, ale jest na tyle tolerancyjna, by dostrzec i wybaczyć to, iż ludzie interesu chcą czegoś zupełnie innego.

Właśnie zmierza na kawę u doktorowej Gréen.

W tym samym czasie wdowa po proboszczu Wellanderze zamyka drzwi, napomniawszy swoją gosposię, by nie gotowała za dużo ziemniaków, bo przecież robi obiad tylko dla dwóch samotnych kobiet; po czym udaje się do doktorowej na kawę. Wdowa po proboszczu mieszka, jak się należy, niedaleko kościoła, zaś domy, które mija po drodze, są niskie i obrośnięte winoroślą. Każdy ma ogródek za drewnianym płotem, niektóre oszkloną werandę, a wiele — podwójne lusterko na zewnętrznej ramie okna, od frontu, służące do podglądania tego, co dzieje się na ulicy. Wdowa po proboszczu z pewną czułością patrzy na lusterka, zanikające ślady epoki, w której ludzie byli ze sobą bardziej

[17] *Viberget* — góra w szwedzkim rezerwacie przyrody o tej samej nazwie w regionie administracyjnym Värmland. [przypis edytorski]

związani niż teraz. To zły znak, gdy jeden człowiek przestaje przejmować się losem drugiego. Wciąż jeszcze podgląda się i plotkuje, to prawda, lecz ma się niewielki wzajemny wpływ na swoje poczynania. Źle, gdy tak się dzieje. Bo czyż nie jesteśmy obowiązani nawzajem śledzić swe kroki i pomagać sobie, tak byśmy trzymali się właściwej ścieżki?

Przy Bussingevägen, którą asesorowa Sjöberg podąża drobnym krokiem w tym samym kierunku co pozostałe panie, nie ma już lusterek. Gładko otynkowanych fasad nowych domów nie porasta winorośl, brak też drewnianych płotów, okalających sielskie ogródki. Za to są łazienki w mieszkaniach, a także bieżąca woda — ciepła i zimna. To w tej dziedzinie miasto ma najlepsze możliwości rozwoju.

Asesorowa mija kinematograf, w którym rozpoczął się już nowy sezon. Pierwszy film pokazywany tej jesieni to *Kobieta-demon*[18]; z kolorowych afiszy spogląda na przechodnia Brigitte Helm[19], patrzy spod przymrużonych powiek, z wampirycznym uśmiechem na twarzy. Pfu, ale zrobiło się chłodno. Asesorowa ma na sobie cienkie jedwabne pończochy i marzną jej nogi.

Tymczasem w saloniku doktorowej Gréen było ciepło i przyjemnie, a zmysły pobudzał na razie jeszcze ledwie wyczuwalny aromat kawy. Już sama taka subtelna zapowiedź owego zapachu okazała się stymulująca na tyle, by nawiązać powściągliwą rozmowę, natomiast jej urzeczywistnienie dziesięć minut później poskutkowało chwilą nabożnego skupienia, w trakcie której napełniano talerzyki w ściśle przestrzeganym porządku.

Są dwa rodzaje wypieków do kawy: takie, które Fina piecze w kuchni na polecenie pani domu, i takie, które pieką pracownice piekarni Persson & Synowie. Rodzaje te reprezentują dwa różne światy, dwa różne porządki społeczne, a także — dwa różne etosy. Reprezentują je, rzecz jasna, w taki sposób, iż temu, czego tradycje sięgają najdalej wstecz, a co obecnie okazuje się być niepraktyczne i na wymarciu, należy przyznać pod względem osobisto-kulturalno-etycznym absolutną wyższość nad bezdusznymi piekarnianymi ciastkami.

Był to zatem piękny dowód obecnej w tej rodzinie głębokiej kultury indywidualności, gdy podane u doktorowej Gréen wypieki do kawy okazały się domowej roboty, co też doceniono wypowiadanymi z emfazą komplementami. Gdy zachwyty się skończyły, panna Tunnegård powróciła do przerwanej wcześniej, pouczającej rozmowy:

— Bo w naszej szkole to tkamy wyłącznie västmanlandzkie wzory. Bo w *naszej* opinii ten, kto mieszka w Västmanlandzie[20], powinien przede wszystkim czuć się Västmanlandczykiem. Z poczucia przynależności do stron rodzinnych wyrasta z kolei miłość do ojczyzny, niczym drzewo z maleńkiego nasiona. Kto nie pielęgnuje i nie ceni tego, co mu najbliższe, nie dojrzał też do większych rzeczy.

— W takim razie dobrze, że nie musi pani polegać wyłącznie na wzorach z Riltuny — powiedziała doktorowa nieco kwaśnym tonem. — Bo wówczas zabrakłoby pani odmiany.

— Przecież Riltuna nie jest *jednostką kulturalną* — pouczyła panna Tunnegård z uśmiechem. — Natomiast wzory västmanlandzkie *zupełnie różnią się* od tych w innych regionach. Są w nich całkowicie *oryginalne* zestawienia kolorystyczne.

Strój, Moda

Sukienka, którą miała na sobie, została uszyta z tkanego domowym sposobem materiału — trudno byłoby temu zaprzeczyć. Można by wprawdzie zarzucić jej, iż sam krój zdecydowanie powielał to, co właśnie uchodziło za modne w całej Europie — a zatem w znikomym stopniu wywodził się z tradycji Västmanlandu — lecz nawet od nauczycielki robót ręcznych z uniwersytetu ludowego nie powinno się wymagać paradowania na co dzień w stroju tancerki ludowej, a cała sztuka w tym, by łączyć stare z nowym i stworzyć coś własnego; za to przynamniej zestawienie barw był prawdziwie västmanlandzkie.

[18] *Kobieta-demon* — w oryginale szwedz. *Den demoniska kvinnan*. Tego tytułu nie ma w filmografii aktorki wymienionej dalej, być może chodzi tu o film *Alraune*, w Szwecji wyświetlany także jako *Vampyren* (*Wampir*), na co wskazywałby plakat kinowy: https://fr.wikipedia.org/wiki/Brigitte_Helm#/media/Fichier:Alraune_poster_(Eric_Rohman,_1928).jpg. [przypis tłumacza]

[19] *Helm, Brigitte* właśc. *Brigitte Eva Gisela Schittenhelm* (1908–1996) — niemiecka aktorka filmowa. [przypis edytorski]

[20] *Västmanland* — kraina w środkowej Szwecji, której południowa część dotyka Mälaren, trzeciego co do wielkości jeziora w Szwecji; w Västmanland znajdują się ważne historycznie miasta Arboga i Västerås. [przypis tłumacza]

— A tak przy okazji, naprawdę oryginalne zestawienie kolorystyczne widziałam wiosną w Wiedniu — odezwała się młoda mężatka o wyskubanych brwiach, która niedawno wprowadziła się do miasta.

A potem próbowała owo zestawienie opisać. Słuchaczki podążały o tyle o ile za jej wątkiem, wyczekując w napięciu dogodnej chwili, by się wtrącić i przywołać ją do porządku.

— Wiedeń! — powiedziała pani Karlström, gdy tylko udało jej się wciąć w rozmowę. — O, tak, Wiedeń! Mój stryj doskonale znał to miasto, często podróżował za granicę. Podobno jest zachwycające.

— Mój brat kapitan mówi, że to już nie ten Wiedeń — westchnęła pani Gréen. — To nie ten sam Wiedeń co za czasów Franciszka Józefa[21], o nie.

— A jednak, jak by to było *cudownie* móc tak podróżować i zobaczyć świat — stwierdziła panna Tunegård; była naprawdę uprzejma. — W każdym razie, czyż nie *należy* zawsze na koniec powiedzieć: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej? ". *Ja* obstaję przy Riltunie — dodała z zawadiackim uśmiechem.

— Prawda — przytaknęła pani Landers, która zdążyła już wyjąć swoją robótkę szydełkową — Riltuna to oaza spokoju w rozgardiaszu świata. Żyjemy sobie tutaj zwyczajnym życiem, pod osłoną naszej własnej, prastarej, wolnej kultury i nawet nie mamy pojęcia, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi. Jednakowoż — tu odsunęła od siebie robótkę i obejrzała ją dokładnie, sprawiając wrażenie, jak gdyby przygotowywała się do wypowiedzenia rozstrzygających i groźnych słów — jednakowoż w wielkomiejskim powietrzu jest coś szczególnego, coś, że tak powiem, żywego. Nie żebyśmy byli tutaj martwi, rzecz jasna; możliwe, że żyjemy po prostu w głębszy sposób, tylko tego nie widać. Jednakowoż... Dlatego mimo wszystko bardzo się cieszę, że Britt może przenieść się do Sztokholmu, do swojego stryja, by dokończyć szkołę i poduczyć się nieco języków.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której trawiono jej przemowę, by dokonać oceny. Czy była to obrona przed krytyką? Tak. A nie przechwałki? Owszem, to też, rzecz jasna. Na przechwałki jednak nie zawsze łatwo jest odpowiedzieć; wszystko zależy od tego, jak zostały wyrażone. Najlepiej iść dalej i mieć nadzieję na przyszłość.

— Ach, to przecudownie! — Panna Tunegård uśmiechnęła się do Britt, ale ta była już po konfirmacji, dorosła, skończyła piętnaście lat i mogła chodzić do kina na filmy niedozwolone dla dzieci, więc poczuła się odrobinę urażona infantylnym tonem jej słów.

— Dziewczynki, nie musicie siedzieć tu z nami — powiedziała pani Gréen. — Weźcie sobie trochę ciastek i idźcie do pokoju Annalotty.

I Annalotta Gréen zaprowadziła swoją przyjaciółkę, a zarazem rówieśniczkę, na górę do swojego pokoju na poddaszu, gdzie mogły rozmawiać bardziej swobodnie.

— Niektórym to dobrze! — stwierdziła proboszczowa Wellander z dezaprobatą. — Za mojej młodości siedziało się grzecznie w domu, dopóki z wiekiem nie nabrało się na tyle rozwagi, by odróżnić dobre od złego. Mam wątpliwości, czy duże miasto, te wszystkie kinematografy i teatry, to odpowiednie otoczenie dla młodej dziewczyny.

— Zgadza się — przytaknęła panna Tunegård — tak właśnie może być. Dusza nie będzie mieć tam spokoju.

— Ale czy naprawdę to, co tu widzimy, tak bardzo różni się od życia w Sztokholmie? — zapytała nowa mieszkanka Riltuny, unosząc swoje wyskubane brwi. — Tutaj przecież też są kina.

Pozostałe rozmówczynie nie wiedziały, czy traktować jej słowa jako komplement dla Riltuny czy raczej obrazę dla Sztokholmu, ale jej wcześniejsza drobna uwaga na temat Wiednia wciąż jeszcze je kłuła, więc zdecydowały się na tę drugą ewentualność.

— Też coś! — skwitowała pani Karlström nieco złośliwie. — Nawet jeśli Sztokholm jest sporo mniejszy od Wiednia, to chyba i tak można go nazwać dużym miastem. Zaprzeczanie temu raczej świadczy tylko o... O pogardzie dla tego, co nasze własne, tak typowej

[21] *Franciszek Józef* a. *Franciszek Józef I* (1830–1916) — cesarz Austrii i król Węgier z dynastii habsbursko-lotaryńskiej. [przypis edytorski]

dla nas, Szwedów, niestety. Mamy słabość do wszystkiego, co zagraniczne, na tym polega nasze nieszczęście, jak mówi Carl Gustaf Laurin[22]. A może to był Heidenstam[23]?

— Właśnie, poza tym w kwestiach moralności — powiedziała proboszczowa Wellander — Sztokholm z pewnością ma nad Wiedniem dużą przewagę.

— W takim razie chyba nie ma nic złego w posyłaniu tam córek, do rodziny szanowanego stryja — zauważyła pani Landers wymownie i przyspieszyła tempo szydełkowania.

W tej samej chwili panna Tunegård pozwoliła szlachetniejszej części swojej natury wziąć górę i skupić się na dobrych stronach tego, o czym była mowa.

Miasto

— Zatem w tej sprawie można przyznać rację pani Lundkvist — podsumowała, znów przywołując na twarz swój najbardziej zniewalający uśmiech — skoro nasze miasteczko, choć skromne, zaczyna się rozrastać. Wystarczy spojrzeć na nowe sklepy i te okazałe witryny. Nie jest to jeszcze Sztokholm, ale tak czy inaczej wszystko zmierza w tym kierunku.

— To właśnie chciałam powiedzieć — zapewniła pani Lundkvist.

Twarze pozostałych pań pojaśniały. Nie ma nic złego w tym, że wierzy się człowiekowi na słowo, chociaż właściwie ów człowiek — a w zasadzie kobieta, z wyskubanymi brwiami — miał na myśli co innego. Tak czy siak pokój został przywrócony i pozostało czekać na następną okazję. Panie po kolei dolewały sobie kawy wśród zachwytów i pochlebnych uprzejmości. Bo to, że kawa *jest* dobra, to jedno, ale że ktoś ot, tak nie przyznaje rzeczy oczywistej, to co innego.

Białe meble

Młodość

Młoda dziewczyna ma pod nieujarzmionymi lokami chłodne, rześkie myśli, a w naszych czasach — nawet śmiałe. (My wszyscy, o czystych sercach, to wiemy). Młoda dziewczyna nie ma zmartwień we właściwym tego słowa znaczeniu, bo wszelką odpowiedzialność, wszelkie trudy życia ponoszą za nią ojciec i matka. (My wszyscy, starsi, zmuszeni kwitować uśmiechem cukierkowe troski młodych, to wiemy). Młoda dziewczyna nie dostrzega jeszcze powagi w świecie, jej dni to wiosenna zabawa, jej noce to głęboki sen niewinności, wypełniony marzeniami o aniołach, kociętach i niezapominajkach. Również na jawie od czasu do czasu opadają ją niespodziewanie marzenia, romantyczne fantazje o miłości albo marzenia śmiałe, praktyczne — to cecha młodości — wciąż jednak czyste i nieokreślone, jak wtedy gdy idzie się krętą ścieżką, próbując zgadnąć, jaki nowy krajobraz oświetlą promienie słońca za zakrętem.

Z tych właśnie powodów również pokój Annalotty był prawdziwie dziewczęcym pokojem, takim, który w każdym szczególe odpowiada naturze młodej dziewczyny. Białe drewniane meble, odrobinę niewygodne, za to filigranowe, lekkie i schludne, tworzyły przyjemny komplet; na małym stoliczku stały dwie różowe begonie i mirt zwyczajny, a z wiszącego kwietnika beztroską kaskadą wylewały się puszyste liście paproci. Nie po raz pierwszy koleżanka szkolna stanęła w progu — teraz była to Britt — i wykrzyknęła: „Ach, jaki uroczy pokój!"; i nie po raz pierwszy Annalotta z satysfakcją i bezpretensjonalnie odpowiedziała: „Tak sądzisz?".

Usiadły na krzesłach o prostych oparciach, piły kawę, jadły ciastka, ale rozmowa nie chciała toczyć się swobodnie. Z lakierowanego na biało mebla emanował ku nim bezdomny chłód, który tym bardziej je krępował, im gorliwiej szukały tematu.

Obie były jedynaczkami. Swoje pierwsze kroczki stawiały, trzymając za rękę usłużną nianię, swoje pierwsze doświadczenia w kwestii rzeczy i świata zdobywały samotnie,

[22] *Laurin, Carl Gustaf* (1866–1940) — szwedzki autor tekstów i książek głównie z zakresu historii sztuki, propagator wiedzy o sztuce wśród młodzieży oraz długoletni nauczyciel historii sztuki w sztokholmskim żeńskim kolegium nauczycielskim; zajmował się również krytyką teatralną. [przypis tłumacza]

[23] *Heidenstam, Carl Gustaf Verner von* (1859–1940) — szwedzki poeta i prozaik, członek Akademii Szwedzkiej oraz laureat Nagrody Nobla w 1916 r. Jako pisarz był jednym z najważniejszych przedstawicieli tzw. lat 90. (XIX w.), jego twórczość jak i ogólnie literatura tego okresu charakteryzowała się zerwaniem z realizmem, naturalizmem i powrotem do romantyzmu, z indywidualizmem, optymistyczną zmysłowością oraz prowincjonalizmem; pisarze chętnie opiewali regiony, z których pochodzili; von Heidenstam znany jest również z opowiadań *Karolinerna* (wydanych w dwóch tomach w latach 1897–1898, opublikowanych w Polsce jako *Karolińczycy* w roku 1904 i *Epopeja rycerska* w roku 1917). Na przełomie wieków oraz w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku cieszył się ogromną popularnością, był wręcz celebrytą, o którym chętnie pisywano w ówczesnych czasopismach przeznaczonych dla szerokiego grona odbiorców. [przypis tłumacza]

w otoczeniu misiów i lalek. Tam zbudowały własne królestwo, same ustanawiały rządzące nim prawa i same były niekwestionowanym centrum. Mury tego królestwa zdawały się jednak wciąż jeszcze rzucać długi, chłodny cień na ich dusze.

Szkoła to nudny temat do rozmowy; wakacje sprawiły, że oddaliła się i zblakła, a od jesieni Britt nie miała już do niej chodzić, więc nie było tu nic interesującego. Annalotta ściągnęła usta i uznała, że Britt jest nudna, a Britt rozglądała się w poszukiwaniu jakiejś rozrywki.

Na biurku, tak filigranowym, że można było na nim wypisywać jedynie pocztówki, leżał najnowszy numer tygodnika „Domowy Ład".

— No, nie! Patrz — odezwała się Britt. — To znowu ty!

Słowa dotyczyły dziewczęcej głowy na pierwszej stronie: brązowe falowane włosy, zaróżowione policzki, duże niebieskie oczy, mały, prosty, ale niewyraźnie zarysowany nos i równie niewyraźnie zarysowane drobne, czerwone usta. Nie można było powiedzieć, że nie ma pewnego podobieństwa.

Annalotta odpowiedziała delikatnym, zblazowanym uśmiechem.

— No tak, wiesz przecież, że gazety potrafią telepatyczną drogą narysować moją podobiznę — odparła. — Bo daję słowo honoru, że nie pozowałam żadnemu rysownikowi, z tego, co wiem.

Nie inaczej — Annalotta wydawała się tak tajemnicza i zachwycająca właśnie dlatego, że widziało się ją wszędzie, chociaż w rzeczywistości to nie była ona: jej głowę zdobiły przecenione kapelusze w gazetowych reklamach, widniała na kolorowych okładkach tygodników, na ilustracjach magazynu publikującego opowiadania. Zawsze ta sama szczupła, młoda dziewczyna o kręconych włosach, tu brązowych, tam blond, i twarzy o miękkich rysach. Zawsze ten sam powściągliwy uśmiech (tak różny od mimowolnego chichotu dziewczynek), który Britt nazwałaby „dorosłym", i zawsze przechylona głowa, skierowana nieco w bok, spojrzenie w górę albo z ukosa, równie dorosłe. Dało się zauważyć, że ani przechylenie głowy, ani ukośne spojrzenie nie wynikało z tego, że we wskazanym kierunku jest coś, na co warto popatrzeć. Właśnie w tym kryła się owa dorosłość. Takim spojrzeniem dorosła kobieta nie patrzy — ona nim robi wrażenie.

Ilustracje nie wzorowały się na Annalotcie, a i Annalotta nie została stworzona na wzór ilustracji. Była poniekąd kimś więcej niż tylko Annalottą — była ideałem, takim, który istnieje zarazem w wyobraźni rysowników i ujawnia się w ich ilustracjach. Koleżanki w szkole zdawały się odczuwać podobnie; zawsze ulegały jej wyższości, przede wszystkim z obawy przed jej dezaprobatą — miała w sobie pewną nieprzystępną odporność, dobrze wiedziała, że jest swoistym ideałem, a takie przekonanie łatwo udziela się innym. Sama Britt podziwiała ją jak wielką gwiazdę filmową. Zresztą wiele z nich było podobnych do Annalotty.

Również gesty miała dorosłe i przemyślane, gdy wyciągnęła rękę po czasopismo, otworzyła je, złożyła strony i podała Britt.

— Czytałaś to opowiadanie, *Lepsza część*?

Britt rzuciła okiem na tygodnik.

— Romans czy kryminał?

— Romans.

— O tym profesorze? Zaraz, czekaj, zamieścili je z pewnością w „Domowym Świecie" jakiś miesiąc temu. O profesorze, który... Który przez dziewczynę dopuścił się włamania?

— Nie, to nie to. Tutaj się utopił albo chciał się utopić, ale ona w ostatniej chwili powiedziała mu „tak". Rozumiesz chyba, że nie mogła wcześniej się zgodzić; chciała go ukarać za to, że był nudziarzem. Ale poza tym był młody i atrakcyjny i grał w baseball. Ona była jego studentką na uczelni, ale nie radziła sobie z fizyką, a to był jego przedmiot, więc dał jej ocenę niedostateczną i nie mogła wyjechać do rodziców za granicę, a tak czekała na ten wyjazd i pocieszała się myślą o nim przez cały rok. A potem, latem, spotkali się w nadmorskim kąpielisku... Zobacz, czy ta dziewczyna w stroju plażowym też nie jest do mnie podobna? I wtedy on zaczął dostrzegać, że ona ma w sobie coś, czego nie mają inne: To Coś. Kobiecość, rozumiesz? Moc przyciągania mężczyzn. I to ona wygrała. A potem historia toczy się tak, jak mówiłam, ale najpierw ona chce go ukarać za to, że był taki nieznośny, i właśnie wtedy on chce rzucić się do morza. A potem są razem i w podróż poślubną jadą za granicę, więc w końcu udało jej się wyjechać; i rodzice też się cieszyli.

— Oryginalna i przyjemna historia — powiedziała Britt.

— Tak, a wiesz, dlaczego tak bardzo ją lubię? Bo mówi wprost, jak jest naprawdę. Wprawdzie nie jest tu napisane „z życia wzięte", jak przy niektórych opowiadaniach, ale nie sądzisz, że czasem fikcja potrafi być co najmniej równie prawdziwa jak rzeczywistość?

— Pewnie, to znaczy... Może. Ale coś takiego raczej nieczęsto się zdarza?

— Nie coś takiego *co do joty*! Ale jesteś głupia, chodzi o główny sens. Jak myślisz, co powiedziałaby stara Pettra, gdyby przeczytała taką historię? „Drogie dzieci", powiedziałaby, „oceny z fizyki są ważne. Nie ma nic ważniejszego". Ale popatrz tylko na Solveig Hammar; ma takie dobre oceny. Powiedz mi, jak myślisz, co ona osiągnie? Taka grubaska! I te piegi! Może i zostanie sobie nauczycielką, z pewnością nie będę jej zazdrościć. Ale gdyby to ona zjawiła się na tej plaży, to myślę, że profesor przeniósłby się do innego pensjonatu. O, nie, moje drogie, mnie nie oszukacie.

— Mnie też nie — powiedziała Britt potulnie. — Tyle to i ja rozumiem, nie tylko dobre oceny są ważne. Szkołę zawsze jakoś tam się skończy. Ale mimo wszystko trzeba też coś umieć.

Kobieta, Pozycja społeczna, Społeczeństwo, Mężczyzna, Pieniądz

— Pewnie, że tak; tylko tyle, by dać sobie radę. Ja jednak myślę, że dzięki umiejętności *usidlenia mężczyzny* zajdzie się dalej, jak tamta dziewczyna na przykład, niż dzięki umiejętności rozwiązywania zadań z treścią, jak Solveig. Słyszałaś kiedyś o pracownicy biurowej, która doszła do czegokolwiek, bo była zdolna? Zresztą do czego ona miałaby w ogóle dojść? Mężczyzna dochodzi do czegoś, gdy dużo zarabia i piszą o nim w gazetach. A o kobiecie piszą tylko wtedy, jak pobije rekord świata w czymś tam albo jest gwiazdą filmu, albo zrobi niezłą partię, a nie jak tylko siedzi w biurze. A zarabianie pieniędzy, wiesz chyba, że to męska robota. Chodzi mi, rzecz jasna, o przyzwoite pieniądze, a nie takie, co tylko starczą na przeżycie. Bo czy nie chce się czegoś więcej niż tylko przeżyć? O, nie, nie wierzę w żadne oceny. W książkach, opowiadaniach i filmach to zawsze dziewczyna, która ma To Coś, kończy z szefem. I tak samo jest zapewne w prawdziwym życiu. Bo skąd autorzy braliby te historie?

— Pewnie tak właśnie jest — zgodziła się Britt.

Właśnie potwierdziło się podejrzenie, które Britt żywiła od dawna: że notorycznie złe oceny Annalotty wynikały z jej sekretnej i budzącej dumę zasady postępowania. Zatem to dorosłe obycie w świecie kazało Annalotcie czuć pogardę wobec durnego wkuwania Solveig. Skąd ona wiedziała cokolwiek o mężczyznach — co oni czują i jak postępują?

— Czytacie „Domowy Ład"? — zapytała Annalotta.

— Nie, my kupujemy „Domowy Świat". Tam są trudniejsze krzyżówki, a mama je uwielbia.

Na chwilę zapadła cisza. Potem odezwała się Annalotta:

— I pomyśleć, że nie wrócisz jesienią, jaka szkoda. Pusto będzie bez ciebie. Ale pewnie cieszysz się, że uciekniesz z tej dziury.

— Dziewczynki! — Z korytarza na dole dobiegł je głos pani Landers. — Britt, podziękuj i pożegnaj się.

— Mogę pożyczyć? — zapytała Britt, po czym z „Domowym Ładem" pod pachą w kilku skokach zbiegła ze schodów, a parę kroków za nią zeszła ostrożniejsza Annalotta.

Chimera

Rześkie, srebrzystoniebieskie wrześniowe powietrze, niosące ze sobą pierwszą stęchłą woń jesiennego przemijania, drgało nad wodami Nybroviken[24], owiewało drewniane żaglówki, szeleściło w żółtych koronach drzew. Była to pora największego ruchu na Strandvägen; na odcinku od Stureplan[25], w dół Birgerjarlsgatan[26] i dalej, aż do Djurgårdsbron[27], roiło się od ludzi — głównie kobiet, głównie tych młodych, ale i innych osób, młodych mężczyzn,

[24] *Nybroviken* — zatoka fiordu Saltsjön pomiędzy dzielnicą Östermalm a półwyspem Blasieholmen (część dzielnicy Norrmalm) w centrum Sztokholmu. [przypis tłumacza]

[25] *Stureplan* — plac w dzielnicy Östermalm w centrum Sztokholmu. [przypis tłumacza]

[26] *Birgerjarlsgatan* — jedna z największych i najdłuższych ulic w centrum Sztokholmu, stanowi granicę między dzielnicami Östermalm, Norrmalm i Vasastan. [przypis tłumacza]

[27] *Djurgårdsbron* — most prowadzący z centrum Sztokholmu na wyspę Djurgården. [przypis tłumacza]

starszych mężczyzn oraz gdzieniegdzie wózków dziecięcych, z których każdy poruszał się w otoczeniu troskliwej świty.

— Popatrz, popatrz — powiedział młody *flâneur*[28] do swojego towarzysza. — Zawrócił! Jednak nie szedł na Djurgården[29], żeby pisać. Przechadza się w tę i we w tę jak my wszyscy. Tak to jest z wybitnymi ludźmi.

Tage Werin nadstawił uszu.

— Nie mógłbyś mnie przedstawić, skoro jesteście spokrewnieni? — zaproponował.

Gdy jest się dziennikarzem, nie zaszkodzi zawrzeć znajomość z jednym z czołowych szwedzkich pisarzy.

Wybitny człowiek szedł w ich stronę. To Vilhelm Berg, uznana sława, znakomity poeta, porywający nowelista i znaczący krytyk; około pięćdziesiątki, wysoki, brunet, nieco pochylony. Na jego twarzy gościł wyraz, który właściwie nie przypominał ani zadowolenia, ani smutku — przywodził na myśl hasło, ukute przez pewnego recenzenta akurat w odniesieniu do wierszy Vilhelma Berga: „upojona beznadzieja".

Tage Werin miał na zawsze zapamiętać wybieg, jakim posłużył się jego przyjaciel Tord w chwili, gdy miał zapoznać go z Vilhelmem Bergiem. Zacząwszy od zdrowia pisarskiej sławy — ten przebył niedawno lekką grypę — przeszedł do głębokiego podziwu, jaki Tage Werin żywi dla jego poezji. Można to było nazwać nieporadnością, tym niemniej zaowocowała ona spacerem całej trójki wzdłuż Strandvägen — pisarz pośrodku, zaś dwaj pozostali kroczyli z szacunkiem po bokach.

Piękna pogoda przepełniała Torda przesadną wiarą w siebie, a towarzystwo utytułowanego krewniaka — pewną nieśmiałością.

— Nie spodziewałem się, że... Hm... Że szanowny wuj Berg przechadza się w tę i we w tę jak i my, filistrzy — powiedział zachwycony.

Pisarz zaśmiał się lekko.

— A dlaczegóżby nie? — zapytał.

— Sam nie wiem — odparł Tord z wahaniem. — Chyba myślę, że to próżna rozrywka.

— Dlaczego próżna?

— Szanowny wuj przechadza się być może z innych powodów, ja zaś przechadzam się, by patrzeć na dziewczęta.

— A powiedz mi, dlaczego chcesz na nie patrzeć? I dlaczego uważasz, że to próżność?

— Patrząc, nie ma się nic szczególnego na myśli — powiedział Tord zażenowany. — Patrzy się, ot tak, dla zabawy. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy ni stąd, ni zowąd nie trafi się wielka przygoda; lecz w takim wypadku robi się nieco mniej próżnie. Właściwa istota przechadzania się to coś nieokreślonego, coś, co nie wymaga rozstrzygnięcia, a jedynie kusi. To zapach, który się wdycha do upojenia, nic więcej.

— Dobrze powiedziane — rzekł pisarz powoli. (Wypowiadał słowa cicho, wyraźnie i wolno, jak gdyby mówienie sprawiało mu lekki ból). — Bardzo dobrze. Tajemnica *corso*[30]. Udany tytuł powieści detektywistycznej, nie sądzicie? W istocie sam zastanawiałem się nad tą tajemnicą. Dawniej myślałem, że to proste; chadza się po takim miejscu w tę i we w tę, żeby zawierać znajomości. Ale przecież tak się ich nie zawiera. Wiara w takie możliwości to mrzonki. Bywałem w obcych miastach, zostawałem na dwa dni, chodziłem po obcym *corso*, a w uszach brzęczał mi nieznany język; i wpatrywałem się w twarze mijanych ludzi, z zapartym tchem, jak gdybym oczekiwał wyroku i zrządzenia losu fatum. Czy naprawdę istnieje taka twarz, jedna jedyna, dla której przejechałbym pół świata? To chimera! Chimera!

— Coś takiego, szanowny wuj jest romantykiem? — zapytał Tord prowokacyjnie.

— Zapewne. A dlaczego nie? Czyż każda prawdziwa kultura nie jest romantyzmem? Wam, młodym, brak odwagi, boicie się konfrontacji z tak oczywistym faktem. Zważ

[28] *flâneur* (fr.) a. *flaner* — włóczęga, spacerowicz, próżniak, członek subkultury. [przypis edytorski]

[29] *Djurgården* — wyspa stanowiąca część Sztokholmu, o dużym znaczeniu krajobrazowym, kulturalnym i rekreacyjnym. Swoją nazwę wzięła od zwierzyńca (szwedz. *djurgård*) założonego przez króla Jana III (1569–1592), gdzie trzymano jelenie, łosie i renifery, który z czasem nabrał charakteru parku rekreacyjnego. Na Djurgården mieszczą się m.in. muzeum na świeżym powietrzu Skansen oraz park rozrywki Gröna Lund założone pod koniec XIX stulecia, budynki ambasad oraz znane galerie sztuki powstałe na początku XX w.: Liljevalchs konsthall, Prins Eugens Waldemarsudde i Thielska Galleriet. [przypis tłumacza]

[30] *corso* (wł.) a. *korso* — ulica spacerowa, deptak. [przypis edytorski]

jednak, że nie wierzę w hipotezę o utęsknionej twarzy. Bo co bym zrobił, gdybym ją znalazł? Pojechałbym dalej, daleko i szukał w nowym miejscu. Chimera jest piękna, bo jest chimerą. Gdy się do mnie zbliży, czar pryska. Tak więc nie szukam konkretnej twarzy.

— Czego wuj szuka w takim razie?

— Myślę, że szukanie nabrało sensu samo w sobie. Naszym pragnieniem jest czuć jeszcze większe pragnienie. A źródła brak.

— To zatrważające — wtrącił Tage. — Zawsze sądziłem, że istnienie pragnienia stanowi przesłankę dla istnienia wody albo jakiegokolwiek płynu. Organizm nie mógł przecież powstać ot tak, przypadkowo, albo przez wyrachowaną złośliwość?

— Dlaczego nie? — Berg uśmiechnął się. — To poważna możliwość, z którą trzeba by się liczyć.

Przed nimi szły razem trzy młode dziewczyny; ta po prawej — wysoka, jasny typ nordycki. Szczupłe biodra poruszały się ze sprężystą niecierpliwością właściwą młodości, jak gdyby elektryczność Ziemi przepływała od stóp przez ciało za każdym razem, gdy obcas dotykał podłoża.

— Spójrzcie — odezwał się pisarz. — Oto właśnie kroczy moja chimera. Ucieleśnienie *corso* i pragnienia. Gdy tak idę i z dystansu patrzę na jej roztańczoną młodość, obdarzam ją przymiotami absolutnej doskonałości, wracam do domu upojony i całkiem dobrze mi się pisze aż do południa. Gdyby była prawdziwym człowiekiem... Ale przecież nim nie jest. Nie chcę wszakże, by była prawdziwa. Chcę tylko pisać. Tylko pisać!

Wyobraźnia, Literat

— Moim zdaniem to imponujące — powiedział Tage. — Tu z pewnością tkwi niezgłębiona tajemnica. Wybrać twórczą samotność zamiast autentycznego gwaru życia; przecież to musi stanowić najskrytszą przesłankę literatury. Czyż nie? Powinniśmy być prawdziwie wdzięczni tym, którzy w taki sposób służą ludzkości.

Pisarz spojrzał nieufnie na młodego oratora.

— Wybrać, nie wybrać. Nauczyliśmy się żyć o głodzie i koniec końców przestaliśmy przyswajać bardziej stały pokarm.

— Za to ja muszę koniecznie zdradzić, kim jest chimera — powiedział Tord. — To moja młodsza dalsza kuzynka, Britt Landers. Wygląda nawet niczego sobie, prawda? Ale żeby była ucieleśnieniem czegokolwiek, to nie sądzę, nie jest nawet uosobieniem Strandvägen. Przyjechała jesienią z prowincji. Naturalnie jest jak czysta karta, ni krzty doświadczenia życiowego.

— No właśnie, właśnie. *Za tym wszystkim nie kryje się nic*, oto cały sekret. Dlaczego tak się tego boimy? Dlaczego zawsze wyobrażaliśmy sobie chimerę jako groźną istotę? To nasze sumienie jest tak bezlitosne, że odmawia nam szansy, by żyć i mieć nadzieję bez wyznaczonego celu? Czy to może nasza najskrytsza tęsknota za ostatecznym wytchnieniem buntuje się przeciwko myśli o wiecznym pragnieniu? Bo przecież taką tęsknotę w głębi duszy żywi każdy z nas, choć chwilowo tłumi ją wrzawa życiowych instynktów. Kiedyś instynkty te, na szczęście, ulegną i będziemy mogli powiedzieć:

Poezja

„Dzięki niebu — Przesilenie
Przeminęło już bezpiecznie —
I powolne ciała gnicie
Już minęło ostatecznie
I gorączka, zwana życiem,
Przeminęła ostatecznie”[31].

[31] *Dzięki niebu (…) Przeminęła ostatecznie* — fragment utworu *Dla Ani* (ang. *For Annie*), którego autorem jest Edgar Allan Poe (1809–1849). Na polski wiersz przetłumaczył Antoni Lange (1862–1929).

W szwedzkim oryginale powieści nie ma informacji, z jakiego utworu pochodzi ten fragment, a cytat jest podany po angielsku:
Thank Heaven! the crisis -
the danger is past,
and the lingering illness
is over at last -
and the fever called „Living”
is conquered at last. [przypis tłumacza]

Ale do tego czasu zostaje tylko pragnienie.

Przez chwilę szedł w milczeniu. Wyrecytował strofę z takim przejęciem, że dwaj pozostali poczuli zakłopotanie. Już spokojniej, jak gdyby rozważał, czy mimo wszystko był w pełni sprawiedliwy, kontynuował:

— A może jednak istnieje trzecia możliwość.

Kolejna chwila milczenia i zaabsorbowania samym sobą. Tamci znów się nie odzywali, by nie przeszkodzić, gdyby jednak zamierzał powiedzieć coś wartościowego. Wreszcie padły słowa, jeszcze ciszej:

Sen, Wyobraźnia

— We śnie jawi się przecież czasem rzeczywistość, której istnienia nawet nie podejrzewamy na jawie, we śnie i w półdrzemce. Zwłaszcza w podróży, gdy żyje się przez ścianę z nieznanym, przytrafiały mi się niezwykłe rzeczy. Budziłem się, słysząc niezwykle piękne melodie. W istocie były to całkiem zwyczajne, wręcz banalne brzmienia, które z czasem zacząłem rozpoznawać, musiałem jednak usłyszeć je i docenić za pośrednictwem innych wewnętrznych mocy niż te, którymi dysponuję na jawie. A ta nieopisana groza i rozkosz, jakie przynosi sen... Kiedy możemy ich doznać na jawie? Mógłbym opowiadać nieprawdopodobne historie. Ale o takich sprawach się nie mówi. W istocie zmierzałem do tego, że być może, może, może mimo wszystko istnieje coś, czego poszukujemy, coś, co właściwie już posiadamy, coś, co jednak zniknęło w morzu snów...

— Chimera?

Literat

— Nie, to nie chimera. Świat chimery to ten świat. Ten drugi nie byłby jej światem. Tam jednak nie dojdziemy. Ale przecież... Mówię samymi zagadkami. Nieważne. Pisarz ma taki niełady zwyczaj mówienia do siebie, bo gdyby nie to, nie zostałby pisarzem.

— Ależ nie szkodzi — powiedział Tord — to nadzwyczaj ciekawe. Szanowny wuj ma taką wyobraźnię.

— Czyli chimerą jest pana kuzyneczka? — ciągnął Berg. — Zechce mnie pan jej przedstawić.

— No, tak — odparł Tage — tak to właśnie jest, rzeczywistość kusi mimo wszystko. Jako zadeklarowany cynik podejrzewam jednak, że całe to pragnienie i ta tęsknota prowadzą do... No właśnie, powiedzmy wprost, do ślubu.

Małżeństwo, Rozstanie, Cierpienie

Twarz Vilhelma Berga poszarzała i zastygła. Nawet sam Tage zrozumiał, że popełnił nietakt. Jak poważny, tego nie mógł wiedzieć; za to Tordowi stanął przed oczami obraz z przeszłości — niejaka pani Berg, która panią Berg już nie była, wysoka, jasnowłosa, o nonszalanckim wdzięku, przypominającym nieco dziewczęce brewerie Britt Landers, i o napiętym wyrazie wokół ust. Rozwiedli się po trzech latach, bez skandali, nikt też nie znał przyczyny rozstania. Oboje byli lubiani w swoim kręgu znajomych, oboje byli mądrzy i taktowni. Żadne nie wzięło ślubu z nikim innym, nie mieli też odwagi, by ponownie się spotkać. W owej chwili było widać po Vilhelmie Bergu, że mimo upływu pięciu lat, rana wciąż sprawiała ból.

Słynny pisarz zniknął im z oczu, oddaliwszy się w stronę Östermalmu[32], obaj mieli jednak potrzebę, by po tej porażce dać upust emocjom, więc wstąpili do kawiarni Feitha[33].

— To dopiero człowiek starej daty — powiedział Tage. — Prawdziwy romantyk. Naturalnie, nie ma odwagi dotknąć kobiety. Widziałeś, jak go uraził mój cyniczny komentarzyk?

— Sądzę, że poniekąd ma nawet rację — odparł Tord. — Nawet jeśli zdobędziemy się na odwagę, o cóż innego może tu chodzić, jak nie o chimerę? Sam w życiu kochałem niemało kobiet, ale co człowiek w tym znajduje? Upojenie, a w najlepszym razie siebie samego, chwilowo najlepszą wersję siebie, zaś w najgorszym, a zawsze tak to się kończy, rozczarowanie, że jej *nie* znajduje. Wyobraziłem sobie takie oto opowiadanie: kobieta, najprawdziwsza zołza, i mężczyzna, który widzi w niej swój ideał i *nie chce* widzieć nic poza tym; i dlatego jest szczęśliwy, rozumiesz? Co ty na to?

— Myślę, że to już było — stwierdził Tage. — Zresztą, to taki sam romantyzm, nawet jeśli wydaje się nazywać rzecz po imieniu.

---

[32] *Östermalm* — ekskluzywna dzielnica w centrum Sztokholmu. [przypis edytorski]

[33] *kawiarnia Feitha* a. *Feiths konditori* (szwedz.) — lokal należący do sieci cukierni i kawiarni działającej w pierwszych dziesięcioleciach XX w. na głównych ulicach w centrum Sztokholmu, np. Drottninggatan, Sveavägen czy Hornsgatan. Lokal przy Strandvägen 1 został otwarty w 1904 roku. Były to popularne miejsca spotkań. [przypis tłumacza]

— Żaden romantyzm! To naga rzeczywistość! I proponowałbym zdobyć się na odwagę, by się z nią skonfrontować i zrobić z niej użytek. To odmienia życie, nowy rytm, rytm jazzu, jeśli chcesz: wybierać i porzucać, wiecznie szukać i znajdować, nowe doznania bez końca, wieczna pogoń za sobą samym. Gdy sięgnąć głębiej, jest w tym pewien tragizm, rzecz jasna, ale na jego tle cała reszta jeszcze lepiej wygląda. Popatrz, *to* jest prawdziwa męskość. Wtedy dopiero jest po co żyć.

— Zatańczę i do saksofonu, i do ukulele — powiedział Tage — ale w teorii nie znoszę obu. Nie zapominaj, że współpracuję z „Nya Dagligt Allehanda"[34], wprawdzie nie na stałe, ale jednak. Poza tym masz pewnie rację. Miłość jest zawsze piekielnie jednakowa. A mimo to kobieta jest przyprawą, bez której nie można się obejść; choć najlepsze wydarza się, zanim się ją zdobędzie. Wierz mi, mam już na oku coś nowego. Dziewuszka urocza jak diabli; pracuje w pasmanterii w Birkastan[35]. Zabrzmi to ordynarnie, ale ona jest... Brunetka, gładka cera, rozumiesz, smukła, gibka, połączenie wampa z nietkniętą dziewicą. Coś wspaniałego. Ma na imię Vióla — ludzie z tej sfery zawsze mówią „Vióla"[36]. Przyjdź kiedyś potańczyć, to ją zobaczysz. Czasem myślę, że naprawdę jest niewinna; czuję dumę, że będę jej pierwszym, ale wolałbym jeszcze trochę z tym poczekać, bo później to już... E tam... Słuchaj no, myślisz, że Vilhelm Berg mógłby mi załatwić jakąś robotę w „DN"[37]?

Miłość, Kobieta

Iluzja

Saksofon: gorące, gładkie ciała, dojmujący głód, pierwotna pieśń pożądania, śpiewana w tropikalnych lasach, tam, gdzie blask księżyca zaostrza apetyt, a bażanty pokrzykują w ciepławej mgle.

Ksylofon: stukoczący, suchy rytm, jak odgłosy marionetki, która podskakuje w tę i we tę i na tyle się może zabawić, na ile pozwalają sznurki, sterowane władczą ręką albo za pomocą mechanizmu.

Do tego bandżo[38]: głośne i bez zahamowań niczym dziecko natury, należące do dziewiczej rasy. Jak biały człowiek o prostych, zaczesanych do tyłu włosach i zblazowanym spojrzeniu spod półprzymkniętych powiek może sądzić, że to jego instrument? Wystarczyłby mu jeden rzut oka na cichą, dobrze wychowaną publiczność, by uświadomił sobie swój błąd — lecz to nieświadomością zarabia na chleb.

Podczas refrenu dołącza się cały band; śpiewają po angielsku, bo to amerykański szlagier. Ludzki głos to też instrument, do którego dźwięków się tańczy, gdy, jak tu, ślepo podąża za rytmem, a obcość języka dokłada swoje, by treść słów zanikła i nie rozpraszała uwagi tańczących. Rytm upaja, pośród fal dźwięków, płynących z drewna i metalu instrumentów, żywy głos jawi się w ogłuszeniu jako podnieta. Gdyby słowa przykuły uwagę, w tej samej chwili prysłoby ogłuszenie, lecz na razie są one tylko przesłaniem o bliskości ciał i pożądaniu bardziej niebezpiecznym niż to, które sączy się z saksofonu — przesłanie to czerwonymi błyskami przeszywa krew i nerwy — a zarazem ich rozmyte dyftongi składają się na pozdrowienie z krainy przygód milionowych miast, ze scenerii filmowej rozświetlanej błyskami.

Muzyka, Taniec

Oświetlenie jest przytłumione — czerwone żyrandole nad stolikami i lampy pod szklaną podłogą, pomalowaną w kwiaty. Nad nią poruszają się szczupłe kostki w jedwabnych pończochach i zaprasowane w kant nogawki spodni, opadające na lakierki. Jak ludzie mogli kiedyś śmiać się i rozmawiać w tańcu? Wiedzieli, czym jest rytm? W upojeniu rytmem, gdy rozszczepienie na ciało i duszę goi się jak podczas snu, kobieta należy do mężczyzny, a mężczyzna należy do kobiety — w sposób nierealnie odległy, lecz bezpieczniejszy i mniej rozczarowujący niż fizyczne zespolenie. Bo nie stawia się niczego na szali

[34] *Nya Dagligt Allehanda* — konserwatywny dziennik ukazujący się w Sztokholmie w latach 1859–1944 (jako kontynuacja m. in. pierwszego szwedzkiego dziennika „Dagligt Allehanda", założonego w połowie XVIII w.). [przypis tłumacza]

[35] *Birkastan* — część dzielnicy Vasasaden w centrum Sztokholmu, dawniej zamieszkiwana głównie przez robotników. [przypis tłumacza]

[36] *Vióla* — prawdopodobnie chodzi tutaj o specyficzną wymowę, charakterystyczną dla określonego środowiska. [przypis edytorski]

[37] *DN* — (szwedz.) „Dagens Nyheter", szwedzki liberalny dziennik (obecnie o największym nakładzie) o zasięgu krajowym, wydawany w Sztokholmie od 1884 r. [przypis tłumacza]

[38] *bandżo* a. *banjo* — instrument muzyczny, rodzaj gitary. [przypis edytorski]

— ni losu, ni ciała, ni duszy — a jednak ów los jest w pobliżu i przyćmiewa wszystko napięciem:*może mój los*. I właśnie to *może* kusi i uspokaja zarazem; kusi, bo zwraca się w kierunku nieskończoności, uspokaja, bo szepcze: „Jeszcze nic straconego".

Tage przyciska Violę mocniej do siebie, prowadzi ją w serii niezwykłych, kapryśnych obrotów, czuje, że ma władzę nad jej wytrenowanym, gibkim ciałem, tyranizuje ją, wymuszając ruch w tę i we w tę. Ona w owej chwili nie jest Violą, nie jest też kobietą jako taką, tylko kobietą, której od zawsze domagały się skrycie jego zmysły, lecz nigdy nie mogły jej zdobyć. Gdy taniec się kończy, pryska też czar — iluzja dogłębnego poznania i bezgranicznej dominacji rozpływa się, ale tak jak rozpływają się nocne widzenia, nie pozostawiając ran ani blizn. Do momentu następnego tańca.

— Napijesz się herbaty?

Zamawia herbatę i coś słodkiego. Chwilowo jest przerwa.

Miejsca przy stolikach zajmują pary, ale nie tylko, również młodzi mężczyźni, którzy z braku towarzyszki są tu w pojedynkę albo z kolegami, żeby prosić do tańca nieznajome, oraz młode kobiety, siedzące dwójkami w oczekiwaniu, aż ktoś je poprosi.

Viola ma szare oczy w obramowaniu gęstych, podkręconych rzęs. To oczy, które mierzą i taksują. Jednym spojrzeniem szacują ceny sukienek innych pań i kalkulują obwody ich łydek. Zaś młodych mężczyzn wprawiłyby w zażenowanie, gdyby tylko wiedzieli, w jaki sposób biorą z nich miarę. Ale nigdy się nie dowiedzą.

Tego wieczora młodzi mężczyźni są za młodzi. Ten tam, z przedziałkiem pośrodku, nie dorósł jeszcze do swoich rąk; najchętniej by się ich pozbył, wygląda, jakby się ich bał, jak gdyby samowolnie mogły doprowadzić do jakiegoś nieszczęścia. Chłopiec z wyższych sfer — w przeciwnym razie nie byłby taki sztywny — może jeszcze chodzi do szkoły. Szczeniak. Za to ten brunet przy stoliku obok, co to za sort? (Gęste, podkręcone rzęsy unoszą się nieśmiało i ukradkowo, na tyle, na ile potrafią po długim ćwiczeniu przed lustrem). Trudno powiedzieć, póki się nie obejrzy go z bliska. Ma w sobie pewną swobodę, jak ktoś nawykły do decydowania o swoim życiu. Nie jest to jednak absolutną zaletą. Gdyby był z dobrej rodziny, nie puszczono by go samopas tak wcześnie. Bo też jest za młody. Ale przystojny. Można by się nim pobawić.

W przytłumionym świetle niełatwo stwierdzić, w czyją właściwie stronę kierują się płoche spojrzenia spod długich rzęs. Wilgotny blask, emanujący zagadkowością nieznanego, który napotyka się uparcie, jednak bez szans na uchwycenie go. Lecz tak jak wino w kieliszku już przez swój aromat i samą obecność ożywia rozmowę i orzeźwia duszę, tak ów błysk tworzy przestrzeń i tło, bez których taniec byłby niewinnym, niemającym sensu wybrykiem.

Na pusty parkiet wychodzi elegancki mężczyzna, staje przed estradą. Przerwę ma wypełnić krótki występ kabaretowy. Na początek ów czaruś. Zawieszony w górnym rogu pod sufitem jupiter zalewa go strugą bieli, by publiczność mogła śledzić jego ruchy i mimikę.

Śpiewa kuplety[39]. Najpierw dwa zabawne: pierwszy, o tytule *Dobrze jest mieć*, wylicza tak różne rzeczy jak aparatura do pędzenia bimbru i klucz uniwersalny, zaś drugi, *Co on tam miał do roboty?*, traktuje o orłach polityki i bożyszczach sportu, by zakończyć na zdradzonym kochanku. Publika śmieje się! Przytomnieje! Ale nie bardziej niż po wypiciu sznapsa. Ostatni kuplet jest poważny, niewinnie lepki i pieszczotliwy:

> „Błękitnym spojrzeniem się śmiej,
> Podaj mi słodkie usteczka swe!
> Najpiękniejsza z róż, marzenie me...".

Publiczność rozpoznaje numer i dośpiewuje refren rozwlekłym chórem. Nastrój powrócił, czaruś kłania się i wychodzi.

Przez krótką chwilę struga światła z jupitera zalewa pusty parkiet niczym blask księżyca. Pora na hiszpański taniec. Nocne podniety, kastaniety. I oto wchodzi ona, Rita de Castro[40]; sunie tanecznym krokiem, gnie się w kokieteryjnych ukłonach i równie ko-

[39]*kuplet* — satyryczna, frywolna piosenka z wyrazistym i dowcipnym refrenem. [przypis edytorski]

[40]*Rita de Castro* — być może jest to zawoalowana literacka aluzja autorki do Marii Rosalii Rity de Castro, hiszpańskiej pisarki i poetki (1837–1885). [przypis edytorski]

kieteryjnie pląsa, by rozpocząć występ. Na estradzie rozbrzmiewa drżące bandżo niczym gitara z Walencji[41].

Rita de Castro, urodzona ze szwedzkich rodziców w Linköpingu[42], decydując się na swój zawód, odrzuciła ich nazwisko i przybrała nowe, by nie burzyć iluzji. Bo publiczność twierdzi, że podziwia ruch i rytm, lecz w istocie żąda sugestii i podniety. Spójrz na sufit, czerwone żyrandole sprawiają, że półmrok zdaje się ciepły i usypiający — czyż nie są to świetliki w namiętną noc, daleko stąd, gdzieś, gdzie wystarczy, że pragnienie wyciągnie dłoń, by móc się spełnić? Zanurz spojrzenie w chłodnej strudze jupitera, która drga błękitnawą bielą niczym blask księżyca na Południu — czyżbyś nie dostrzegał, jak pod zmysłowymi doznaniami budzą się wspomnienia tysiąca rzeczy, których sam nigdy nie widziałeś, a które dotarły do ciebie w obrazach i słowach, zaś ty tchnąłeś w nie życie, całe to życie, którego miałeś w nadmiarze, lecz nie było gdzie go roztrwonić? Obcy strój należy do Carmen[43], kobiety, która nie zna innych więzów niż więzy miłości, a jej obce imię pobrzmiewa echem przygód zjawiskowych Kreolek. Rito de Castro! Wyjdź na parkiet i pozwól działać iluzji! Upojone oczy czekają niecierpliwie, by dać się oszukać — nie zawiedź ich!

Taniec, Kobieta, Uroda, Piękno

Aksamitny wąż koloru kości słoniowej — takie pierwsze wrażenie robi tancerka, wyginając się i wirując. Plecy ma nagie, tak by publiczność mogła wnikliwie śledzić każdy jej ruch, aż po misterną grę mięśni pod skórą. Strój ściśle przylega do jeszcze nie w pełni ukształtowanej sylwetki.

Kto tańczy solo, znajduje się w równie niezwykłej sytuacji, co odtwórca roli występujący w pojedynkę na scenie. Partnerujący mu aktor musi zostać wykreowany w myślach tak sugestywnie, by publiczność go zobaczyła. Taneczne ruchy Rity de Castro nie są jednak skierowane do jakiegokolwiek partnera, nie mają związku z drugim człowiekiem, a jeśli już — to bezpośrednio z publiką. Bo ów taniec jest poświęcony jej własnemu ciału, jej urodzie, jej gibkości. Gest, jakim unosi rękę, by ta, stając się przedłużeniem pleców, utworzyła z nimi długi, łagodny łuk, jest tak doskonały, że nie można go wykonać lepiej, a jednocześnie świadomy w najdrobniejszym szczególe. O co jej chodzi? Co chce wyrazić? Nic. To sztuka dla sztuki. Chodzi jej o własną urodę. O brawa rozbrzmiewające w sali dansingowej w chwili, gdy po raz ostatni zmysłowo wygina się w tył, z rozpostartymi ramionami i wysuniętą w przód stopą, by zaraz potem gładko wykonać swoje niskie dygnięcie w południowym stylu, z uśmiechem lalki na wiśniowoczerwonych ustach — z uśmiechem, którego pustkę każdy wypełnia własnymi oczekiwaniami, przez co ten zdaje się bardziej zagadkowy i kuszący niż wszelka dusza, wszelka namiętność, wszelka prawda.

Aplauz jest ogłuszający. Mężczyźni i kobiety drżą i płoną w głębi swoich serc, a tańce mogą rozpocząć się na nowo.

Tage, przeprosiwszy, zostawia swoją towarzyszkę, by skierować się do innego stolika i poprowadzić na parkiet dziecię o fryzurze utlenionej na blond. Ciemnowłosy chłopiec, który w trakcie wieczoru raz po raz czuł na sobie spojrzenie Violi, stanowczo wstaje z krzesła, podchodzi do niej i kłania się z chłodną powagą. Objęci suną przez salę, kołysani falami przygody i żaru. *Może mój los…* Ale spod długich, gęstych, czarnych rzęs Viola dostrzega, że brunet ma dopinany kołnierzyk, masówka od Mey & Edlich[44]…

Saksofon: krew lamentuje mrocznym lamentem, leje się i napiera na kamienne mury…

Ksylofon: mechanizm pracuje, drewniane trybiki terkoczą, prawidłowo, byle utrzymać rytm…

[41] *Walencja* — hiszpańskie miasto nad Morzem Śródziemnym, stolica prowincji i wspólnoty autonomicznej o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

[42] *Linköping* — miasto w płd.-wsch. Szwecji, w regionie Östergötland, liczące ówcześnie niecałe 30 tysięcy mieszkańców. [przypis tłumacza]

[43] *Carmen* — być może jest to aluzja do tytułowej bohaterki opery, której twórcą jest Georges Bizet (1838–1875). [przypis edytorski]

[44] *Mey & Edlich* — papierowe kołnierzyki firmy Mey & Edlich, dopinane do koszuli, niskiej jakości, dostępne w sprzedaży wysyłkowej. [przypis tłumacza]

Zupełnie inny świat

Wprowadzony przez Torda, Tage stawiał pierwsze kroki na wieczorze tanecznym u Landersów. Lecz stawiał je tak, jak gdyby był u siebie w domu. Wypożyczony frak leżał jak ulał, a czar i wdzięk prezentowały się w pełnej krasie. W wystawnym mieszkaniu unosił się niepowtarzalny, dyskretny zapach — Tage, bywalec dansingów, od razu go wyczuł i wdychał z rozkoszą. Są lokale i lokale.

Otóż takie domowe tańce mają w sobie coś bezpiecznego i spokojnego. Można poddać się chwili w głębokim przekonaniu, że to, co się tu dzieje, odbywa się z godnością. Wszyscy należą do tego samego kręgu, słowa i zachowania otacza atmosfera poufności; zupełnie inaczej jest w miejscach publicznych, w których zawsze trzeba dbać o swoją pozycję i autorytet, a jedyną ochronę stanowi niepewna anonimowość. Tutaj jest się zatem jak u siebie. Państwo Landersowie pokazali się tylko na początku; rozdając uśmiechy, witali się z młodzieżą i obejrzeli pierwszych kilka tańców. Potem goście mieli radzić sobie sami.

Muzyka była pierwszorzędna, w stałym rytmie i bez przerw, atmosfera ożywiona i swobodna. Birgitta Merck, z którą właśnie tańczył Tage, w pełni opanowała tę sztukę, w dodatku miała zagadkowo chłodny uśmiech, od którego przechodziły ciarki.

Zostawili roztańczone towarzystwo i przeszli do jednego z bocznych pokoi. W porównaniu z gładkim parkietem puszysty dywan zdawał się dziwnie miękki, ale przyjemnie było nieco się ochłodzić. Panna Merck opadła na niemal irytująco wygodne krzesło i wyciągnęła zgrabne nogi. Elegancko, bez wątpienia.

Tymczasem w głębi, w okazałym fotelu siedziała już skulona nonszalancko Britt Landers; głowę o zmierzwionych włosach miała opartą na czarnej, jedwabnej poduszce z wyhaftowanym bażantem we wszystkich kolorach tęczy. Tage patrzył zachwycony. Bażanty i rajskie ptaki, eksponujące niewinny, a zarazem uwodzicielski przepych swoich piórek — takie właśnie były dziewczęta obecne tu tego wieczora.

Nad fotelem Britt pochylał się młody Sellman — wysportowany typ nordycki, szeroki w ramionach, a przy stole, zastawionym owocami i napojami, kręcił się młody mężczyzna wzrostu mniej niż średniego, przysadzisty, o nadmiernie żywym temperamencie, zazwyczaj nazywany po prostu Geniuszem.

Zabawa, Alkohol

Tage podszedł do stołu, nalał szklaneczkę ponczu pannie Merck, a sobie grogu. Tutaj nie oszczędzało się na tym, co mogło podkręcić atmosferę, ani na wyrafinowanych efektach świetlnych, ani tym bardziej na napojach, ponieważ niemal wszyscy obecni tu młodzi mężczyźni byli już po maturze i potrafili się pilnować.

— Czy ktoś przypadkiem nie ma aspiryny? — głośno zapytał Geniusz.

— Pannę Landers rozbolała głowa? — odpowiedział pytaniem Tage.

— Słuchajcie tego, niewiniątka. — Geniusz roześmiał się. — Aspiryna ma dużo szersze zastosowanie niż ci się wydaje, chłopcze. Jest artykułem pierwszej potrzeby na tak suto zastawionym stole. — Gestem dłoni wskazał ustawione na nim butelki. — To ogromna lekkomyślność z waszej strony nie wziąć ze sobą aspiryny na bal u Landersów.

— Aha — bąknął Tage, zażenowany swoją dziecinną gafą. — Innymi słowy, czujesz już, że bierze cię słabość?

— Słaby to ja jestem zawsze. Ciało jest słabe, jak wiesz, za to duch ochoczy. Więc nie byłoby w tym nic dziwnego. Naprawdę smutne jest jednak to, że raczej zaczynam czuć się kolosalnie silny. To naprawdę zły znak, jak mniemam. Za chwilę ogarnie mnie nieodparta chęć, by przeskoczyć przez ten stół, zastawiony szkłem.

— Obyś tylko nie skończył jak ten docent z Lundu[45], co to ubzdurał sobie, że jest wyjcem i postanowił zwiesić się z drzewa na ogonie. Złamał nogę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— To prawie jak ja niedawno — stwierdził Sellman. — Jednego dnia, a właściwie jednej nocy wyszedłem z chłopakami z politechniki na miasto, a kiedy wróciliśmy, chłopcze, nie masz pojęcia...

[45] *Lund* — miasto w płd.-zach. Szwecji, w prowincji Skania, niedaleko Malmö; siedziba jednego z najważniejszych szwedzkich uniwersytetów. [przypis edytorski]

Pozostali czekali na puentę, ale z tej czy innej przyczyny ciąg dalszy nie nastąpił. Albo Sellman w ogóle nie zamierzał dojść do puenty, albo pożałował, że w ogóle zaczął.

— Nawet wy z politechniki nie zmienicie się w takie amfibie jak lud Finlandii za obecnej prohibicji[46] — powiedział Tage. — Zamawiasz herbatę w restauracji, to pytają, czy mocną. Jak powiesz, że mocną, dostaniesz koniak. W filiżance.

Obie panie wywnioskowały z tonu rozmowy, że słowa te były skierowane do nich, że to hołd składany u ich stóp, i sprawiło im to przyjemność, nawet jeśli nie w pełni rozumiały ową egzaltację w stosunku do spirytualiów. Wyprostowały się i dały upust swojemu zadowoleniu, zanosząc się dźwięcznym śmiechem.

— Sam znam to najlepiej — odezwał się Geniusz. — Wiecie, że ja też szmuglowałem? Tak dla dreszczyku emocji, rzecz jasna; chciałem zobaczyć, jak to jest.

Dziewczęta przestały kokietować, ich zainteresowanie stało się mimowolne, jak wtedy gdy ogląda się trzymający w napięciu film.

— Nie wiemy — powiedziała Britt, wpatrując się w niego okrągłymi ze zdziwienia oczami.

— Może pan opowiedzieć więcej? — zapytała Birgitta Merck.

Geniusz przybrał odpowiednią pozycję, po czym barwnie opisał ekscytującą jazdę autem ściganym przez policję. Dzięki temu, że kierowca (a być może w pewnym stopniu i sam Geniusz) zachował zimną krew, udało się wykonać przeogromnie trudny plan, czyli zrzucić na zakręcie ładunek alkoholu do rowu. Tak więc, gdy policja dogoniła ich kawałek dalej, samochód wiózł same niewiniątka i ani kropli napojów wyskokowych.

Cisza. Britt westchnęła.

Ale to Geniusz miał całkowitą władzę nad atmosferą w pokoju. Lżejszym tonem podjął wątek:

— Ma to jednak swoje konsekwencje. Podobno ludzie z wybrzeża zupełnie podupadli.

— Wyniszczył ich nałóg?

— Nie, nie, przemyt. Podupadli moralnie.

— Ale czy pan też nie przemycał? Chce pan nas przekonać, że podupadł moralnie? — Panna Merck roześmiała się.

— Hm, kto wie — powiedział Geniusz tajemniczo i wzruszył ramionami. — Ja jednak szmuglowałem dla dreszczyku emocji, mówiłem przecież. Ale gdy w grę wchodzi zarobek, rzecz od razu zmienia się w co innego. Żal tej hołoty; biedni są, to prawda, mam dla nich przeogromne zrozumienie, w końcu jest się tylko człowiekiem, zgoda... Ale tu mimo wszystko chodzi o zaprzedanie się, więc to nie do końca to samo, prawda? Był nawet taki jeden stary przemytnik... Szmuglował tony, ale skończył z tym, gdy zdał sobie sprawę, do czego to prowadzi: że *de facto* dziewięćdziesiąt procent tamtejszych ludzi podupadło moralnie przez przemyt. Nie, taki poszukiwacz przygód, *desperado*[47], może ryzykować — Geniusz znów lekceważąco wzruszył ramionami — ale uczciwi, trzeźwo patrzący na życie rybacy? Nie chcemy, żeby się zdemoralizowali. Tage, nie sądzisz, że mam rację?

— Ależ tak — powiedział Tage. — Bez wątpienia fenomenalny wyczyn, lecz tym niemniej niezgodny z prawem...

— Niezgodny z prawem — parsknął Geniusz. — Taki z ciebie zakichany filister i faryzeusz, że wychodzisz mi z tego rodzaju argumentem. Koleżeństwo, to rozumiem, wierz mi, wiem, co to honor; a jak kto wątpi, to, mówiąc wprost, już ja go nauczę moresu. Panie wybaczą. Ale filistrem to ja nie jestem. A ty, zdaje się, też nie pisujesz dla tych kościółkowców ze „Svenska Morgonbladet"[48]. Naprawdę taki z ciebie zakichany demokrata, że chcesz wykreślić z życia wszelką przygodę i wielkość i sprawić, by stało się równie słabe

[46] *prohibicja* — tu: obowiązująca w Finlandii w latach 1919–1932 prohibicja; przyniosła ona skutek odwrotny do zamierzonego, m. in. z powodu przemytu alkoholu z Estonii i Łotwy, którym to procederem trudnili się również rybacy. [przypis tłumacza]

[47] *desperado* — straceniec, desperat. [przypis edytorski]

[48] *Svenska Morgonbladet* — „Svenska Morgonbladet" (w oryginale określony potocznym mianem „Svenska Morr") to pierwszy szwedzki dziennik o profilu chrześcijańskim, ukazujący się w latach 1890–1958, który na swoich łamach wspierał również ruch na rzecz trzeźwości; w liście do duńskiego tłumacza powieści, Kjelda Elfelta, Karin Boye określiła ten dziennik mianem gazety „nierzadko świętoszkowatej i zacofanej" (Karin Boye & Paulina Helgeson red. *Ett verkligt jordiskt liv*. Brev. Urval och kommentarer Paulina Helgeson, Albert Bonniers förlag). [przypis tłumacza]

jak ten sikacz Ekmana[49]? O, nie, jest tu jeszcze ktoś, kto zna wartość prawdziwych mężczyzn, którzy nie boją się poważyć na to czy tamto. Bez dwóch zdań wolę eleganckiego gangstera w rodzaju Ala Capone[50] niż jakiegoś przeciętniaka, który nie stoi wyżej jak dwa cale ponad swoim stadem.

— Piękne dzięki — powiedział Tage, który czuł prawdziwy podziw dla krasomówstwa Geniusza. — Jestem raczej staroświecki, bo myślę podobnie jak ty, może nieco mniej skrajnie. Niech dygnitarzyki nazywają to powrotem do romantyzmu lat dziewięćdziesiątych[51] czy jak im tam pasuje.

Obraz świata, Społeczeństwo

— Romantyzm lat dziewięćdziesiątych! Czyżby nie istniał dużo, dużo wcześniej? Przez cały antyk? A w renesansie? Zresztą ludzie nazywają naszą współczesność epoką przeciętności; i słusznie, duch czasu istotnie zmierza w tym kierunku, pod dyktando szarych mas, chcą wszystko wyrównać: stan posiadania, wykształcenie, warunki życia. Ale wiesz, co odkryłem tak zupełnie prywatnie? Że nasze czasy jednak, a może właśnie dlatego, na przekór, są epoką wielkich ludzi; i to bardziej niż wszelkie inne. Weźmy Kreugera[52]. Czyż jakikolwiek książę udzielny w renesansie był taką potęgą? Albo artystkę w rodzaju Grety Garbo[53]... Kto spośród wcześniejszych twórców zgromadził tak ogromną publiczność? Zatem owa przeciętność jeszcze nie w pełni się zadomowiła. A opinia publiczna prędzej czy później musi ulec zmianie. Ludzie nie potrafią zadowolić się powszedniością, na całe szczęście. Muszą dodać życiu blasku. Jeśli nie swojemu, to przynajmniej życiu swoich bohaterów. Dlatego właśnie muszą bardziej stawiać na przygodę i wielkość, a nie na filisterskie cnoty. Sellman, jak wiem, jest po mojej stronie.

Tage kiwnął potakująco głową. Czuł się uroczyście. Oto pojawił się ktoś, kto mówi, jakby czytał w jego duszy.

— Zastanawiam się, czy nie tak właśnie przejawia się dogłębne wyczucie Szweda w kwestii tego, co istotne w życiu — powiedział cicho. — Zapewne wielu dokładnie tak czuje i niewątpliwie mają rację.

Sellman nie wysłuchał ostatnich słów przemowy Geniusza. W chwili gdy rozległy się dźwięki bluesa, stał już przed panną Merck; ukłonił się, po czym oboje, trzymając się pod ramię, weszli do salonu, w którym kontynuowano tańce.

— Oto jeden z przyszłych wielkich ludzi — powiedział Geniusz i wskazał kciukiem na Sellmana. — Śledzenie wywodów go nie interesuje, za to działanie... To właśnie jest jego żywioł. Czyż nie widać po nim, że wywodzi się z wikingów? Wiking o amerykańskim podbródku. Rozumie tempo nowoczesności. Jak sądzisz, co osiągnie za dwadzieścia lat?

— Chcesz powiedzieć, że coś fenomenalnego?

---

[49] *sikacz Ekmana* — (szwedz.) *Ekmansdricka*, potoczna nazwa rodzaju piwa o bardzo niskiej zawartości alkoholu, wprowadzonego do sprzedaży w Szwecji w 1928 roku; określenie nawiązywało do nazwiska szwedzkiego polityka i działacza na rzecz trzeźwości, Carla Gustava Ekmana (1872–1945), premiera Szwecji w latach 1926–1928 i 1930–1932 oraz ministra obrony w latach 1930–1931. Napój ten nie cieszył się popularnością i był obiektem kpin; dodatkowo, jak wyjaśnia sama autorka w liście do duńskiego tłumacza powieści, użycie tego określenia w dialogu wyraża „drwinę mówiącego (Geniusza) z naszych bezsilnych i zdegenerowanych czasów (premier Ekman)" (Karin Boye & Paulina Helgeson red. *Ett verkligt jordiskt liv*. Brev. Urval och kommentarer Paulina Helgeson, Albert Bonniers förlag). [przypis tłumacza]

[50] *Capone, Al* (1899–1947) — amerykański gangster pochodzenia włoskiego, który zdobył szczególny rozgłos w czasach prohibicji. [przypis edytorski]

[51] *romantyzm lat dziewięćdziesiątych* — (szwedz.) *nittiotalsromantik*; określenie odnosi się do tzw. lat 90. (XIX w.), czyli okresu w szwedzkiej literaturze, ale też sztuce, architekturze i muzyce, który charakteryzował się odwrotem od realizmu i zaangażowania społecznego na rzecz tendencji romantycznych, symbolistycznych, ale też tzw. prowincjonalizmu, wyrażającego się w przywiązaniu twórców do stron rodzinnych i lokalnego folkloru; ważnymi autorami w tym okresie byli m. in. Selma Lagerlöf (1858–1940), Verner von Heidenstam (1859–1940) czy Erik Axel Karlfeldt (1864–1931). [przypis tłumacza]

[52] *Kreuger, Ivar* (1880–1932) — szwedzki inżynier, przedsiębiorca i potentat finansowy, założyciel międzynarodowego koncernu, w skład którego pod koniec lat 30. XX w. wchodziło około dwustu przedsiębiorstw, określany mianem „króla zapałek", ponieważ stworzył imperium zapałczane, które w latach 20. odpowiadało za dużą część światowej produkcji zapałek. Wielki Kryzys, który wybuchł w 1929 roku, odbił się na kondycji finansowej koncernu, a w 1932 roku nastąpił tzw. krach Kreugera: Ivar Kreuger popełnił samobójstwo, a zadłużony koncern zbankrutował. Dopiero po śmierci potentata okazało się, że zatajał on przed zarządem i opinią publiczną stan zadłużenia koncernu i przeszacowanie zysków; ze względu na monopolistyczną pozycję koncernu Kreugera w szwedzkiej gospodarce wydarzenia te pogłębiły kryzys w Szwecji i miały też konsekwencje polityczne: ówczesny premier Szwecji, Carl Gustaf Ekman, został zmuszony do dymisji w związku z oskarżeniami o rzekomą defraudację części środków, którymi Kreuger wspierał jego partię. [przypis tłumacza]

[53] *Garbo, Greta* (1905–1990) — szwedzko-amerykańska aktorka filmowa i teatralna. [przypis edytorski]

— Oczywiście. Wielki przemysł. Przy takim tempie... Jego ojciec zarabia sto tysięcy rocznie.

— Jasny gwint!

— Wnioskuję z twojego tonu, że kult herosów jeszcze nie umarł. Niech żyją dawni bogowie! Za dawnych bogów!

Wypił swój koniak i nalał kolejny kieliszek. Tymczasem Tage poprosił do tańca Britt Landers. Czuł, że wstąpiła w niego nowa siła. Czyż i on nie wywodził się z wikingów? Nawet jeśli jego ojciec nie zarabiał stu tysięcy, to przecież przyzwoity mężczyzna mógł coś osiągnąć w świecie. Niech żyją dawni bogowie...

W salonie pary bawiły się w podrzucanie kolorowych balonów. Panowie, w większości nieco już podchmieleni, chwytali je i z dziką uciechą ściskali mocno w dłoniach, by pękły, zaś panie wśród okrzyków chroniły balony z matczyną czułością, co prowadziło do licznych pogoni i przepychanek. Wśród tańczących zaczęto rzucać serpentyny — szeleściły w powietrzu, oplątywały ramiona i nogi i rozciągane niczym gumowe taśmy zrywały się. W ten barwny chaos przecisnął się Tage ze swoją partnerką.

Słowa wielkiego człowieka mają w sobie coś przedziwnego — są bezwzględnie zaraźliwe. Istnieją takie książki, które zawsze otwiera się z czcią; wie się, że coś w nich jest, że wszyscy uważają, iż coś w nich jest — i w rzeczy samej coś się znajduje. Jedni znajdują w nich to, inni — tamto, w każdym razie regularnie jest z tego jakiś rezultat, o ile podchodzi się do dzieła z właściwym, owocnym zaufaniem. Tak samo dzieje się, gdy mówi uznana sława — jej przemowa staje się prawdą i doznaniem dla tego, kto wykazuje się nabożną ufnością. Książka

Czegoś takiego doświadczył w tej chwili Tage, przypomniawszy sobie, że Vilhelm Berg nazwał Britt chimerą i ucieleśnieniem pragnienia. Kobieta, Taniec, Przemiana

Nie tańczyła z taką wprawą jak panna Merck ani z taką jak Viola, jednak nawet to dodawało jej czaru. Miało się poczucie, że to, co u tamtych było już w pełni ukształtowane, u Britt Landers było dopiero w zalążku — obietnica z całą mocą nieznanego. Jej miękkie ciało było jak miękka glina, która oczekuje na swą ostateczną formę, a w błyszczących ufnością oczach, w wilgotnych wargach, rozchylonych, gdy w milczeniu i z uwagą słuchała tego, kto akurat mówił, kryła się ta sama urzekająca, chłonąca wszystko podatność.

Czego to nie można byłoby zrobić z takiej młodej kobiety!

Upojony już wcześniej słowami Geniusza o zdobywcach świata i jednostkach niepospolitych, Tage odpływał coraz dalej w przestworza uśpionych możliwości. Rozbrzmiewająca rytmicznie muzyka była marszem triumfalnym. Takt jego własnych kroków dyktował rytm uderzeniom pulsu świata. Wirująca w powietrzu długa, bladoczerwona serpentyna usidliła go w swych splotach, on jednak parł dalej, nie przejmując się tymi więzami. Nawet nie poczuł, gdy taśma delikatnego papieru rozerwała się i zawisła na jego piersi niczym order; oddychał głęboko i ze swobodą, stawiał kroki jeszcze odważniej, uśmiechając się jak młody bóg, który zrzuca okowy.

Sakrament

Za dnia miasto stanowi krajobraz taki sam jak wszystkie inne — strome masywy naszpikowane oknami, złote smugi światła, formujące się w zadymionej ulicznej atmosferze, i nie w pełni przyjemna woń spalanej benzyny. Za to wieczorem! Miasto, Światło, Wieczór

Mżysty jesienny wieczór... Sylwetki wyraźnie zarysowanych źródeł światła odbijają się w mokrym asfalcie jako nierzeczywiście rozmyte, bezkształtne, roziskrzone powierzchnie — nieruchome kałuże światła, kapiącego z neonów i lejącego się z latarni na chodnik, by zniknąć w połyskującym wilgocią mroku jezdni, oraz żywe świetlne potoki i strużki, które sączą się i wartko płyną przed posuwającymi się z trudem gondolami tramwajów, obłymi cielskami autobusów z niebieskim klejnotem[54] na czole i reflektorami aut, rozjarzonymi niczym szeroko otwarte oczy drapieżnika szukającego zdobyczy. A wszystko to zyskuje

[54] *niebieski klejnot* — zapewne chodzi tutaj o niebieskie światła (pojedyncze lub parzyste), instalowane dawniej z przodu pojazdu w górnej części karoserii, które sygnalizowały jadącym z naprzeciwka, że zbliża się do nich autobus (niebieskie lampy jako świetlny sygnał ostrzegawczy na samochodach policyjnych wprowadzono w Szwecji w 1970 r., wcześniej były wyposażone w dwa światła czerwone z przodu i jedno żółte z tyłu na dachu pojazdu). [przypis tłumacza]

wymiar, którego nie ma za dnia; strumienie świateł jak bezcielesne ciała opadają w czarny, a zarazem przezroczysty świat pod naszymi stopami, przez co można się zastanawiać, czy zjawiska dnia nie stanowią jedynie przemijającej nadziemnej części tajemniczych roślin, których korzenie wiją się i plączą ze sobą gdzieś głęboko w trudno dostępnych pokładach.

Kinematografy kuszą zawijasami świateł — miejsca schronienia przed mrokiem wieczoru, słotą jesieni i niezaspokojoną pustką codzienności. Pełnia i spokój czekają w marzeniach na ekranie, a ciemne grupki ludzi nadciągają ze wszystkich stron niczym ćmy, lgnące do papierowych lampionów na sierpniowym przyjęciu[55]. Ich oczy są oślepione blaskiem, ich twarze utraciły swój napięty wyraz i teraz wyłania się z nich głodne dziecko, które każdy skrywa głęboko w swoim wnętrzu, a które dopomina się bajek i pięknych snów o tym, czego rzeczywistość nie może mu dać. Ubrań wierzchnich nie zdejmuje się — to oznaka miłosiernej samotności i każdy oczekuje, że zostanie nią otulony w sali wypełnionej widzami; samotności, która spowija dziecko w kolory i przygody, kiedy ono kuli się i naciąga kołdrę na głowę.

Przytłumione oświetlenie sufitowe przygasa niczym pośpieszny zmierzch w tropikach. Widzowie stopili się w homogeniczną, ciemną masę; można by pomyśleć, że stali się jednym. Ale oni nie są jednym, tylko każdy jest sam jeden — już ich nie widać, teraz to oni widzą.

Rozpoczyna się kronika filmowa z tego tygodnia. Ślub rumuńskiej księżniczki. Jesienne manewry. Amerykański mistrz sztuki życia chodzi po linie, by zyskać sławę. Europejskie królowe piękności. O, to właśnie jest Świat, zmieniający się, chaotyczny, pełen dziwów. Widzimy Świat takim, jaki jest.

Znów palą się światła, ale nie pełnią mocy. Można się rozejrzeć i sprawdzić, czy są jacyś znajomi. Britt dostrzega Tagego Werina; siedzi nieco dalej w głębi sali, w towarzystwie uroczej ciemnowłosej dziewczyny, trochę starszej od niej. Tage wita się z Britt.

Kolejny raz zapada ciemność, lecz Viola zdążyła dostrzec tę drugą — kołnierz z futra skunksa, dobrze ubrana, śliczna, i to całkiem, całkiem, ale raczej z lepszych sfer, lepszych niż ona sama.

Rzeczywistość dokoła pogrąża się w mroku i zmienia w sen, który tymczasem na jaskrawo oświetlonym czworokącie staje się jedyną rzeczywistością: *Podejrzenie*.

Kobieta, Sława, Los

To najnowszy film z niebiańską Bel Bird.

Przed pięciu laty przybyła do Hollywood[56] jako biedna dziewczynka z Rhode Island[57], a teraz jest uwielbianą na całym świecie Bel; zawdzięcza to swojej urodzie, smukłej sylwetce, rozmarzonemu, tajemniczemu uśmiechowi, wyważonej grze aktorskiej i gigantycznej reklamie. Niczyj los nie jest tak godny pozazdroszczenia jak jej, w dodatku leży w zasięgu niemal każdego. Czekając, można wczuć się w jej sytuację, w to, jak wiodło się jej wcześniej (była ekspedientką, wyobraź sobie, a teraz?), jak stała się wielką Bel, jak teraz jej się wiedzie, co myśli o życiu i miłości. Kto przejdzie się Kungsgatan[58] albo Strandvägen około południa, naliczy dziesiątki, a może i setki takich małych Bel Bird. Te same wąskie brwi pod filcowym kapeluszem *cloche*[59], to samo błyszczące spojrzenie i ten sam płynny, wdzięczny chód. Te same myśli o życiu i miłości.

Nie przeceniaj jednak jej potęgi. Była tylko życiem, które wlano w formę. Przyjechała do Hollywood jako rozjarzona, zamknięta w sobie dusza, z nadzieją na to, że jej namiętnościom będzie dane rozkwitnąć, ale tylko w kostiumie. I tak się stało. A kostium wyssał życie z jej życia i nagrodził ją złotem i sławą. Stała się wielką Bel Bird. Na najnowszej fotografii, zamieszczanej na okładkach zachwycających się nią tygodników z całego świata, można zobaczyć, jak idealnie kostium i życie, forma i treść, stopiły się w jedno: biodra lekko wypchnięte w tył, barki i szyja wysunięte do przodu, ręce subtelnie uniesione, w tej pozie bawi się ze swoim psotnym kotkiem rasy angora, a jej ruch wyraża taką pewność

[55] *sierpniowe przyjęcie* — sierpień to w Szwecji tradycyjna pora wyprawiania przyjęć na świeżym powietrzu (szwedz. *kräftskiva*), na których podaje się m. in. gotowane raki. [przypis tłumacza]

[56] *Hollywood* — dzielnica Los Angeles i i najważniejszy ośrodek kinematografii w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

[57] *Rhode Island* — jeden z amerykańskich stanów, położony w płn.-wsch. części USA. [przypis edytorski]

[58] *Kungsgatan* — reprezentacyjna ulica w centrum Sztokholmu, biegnąca przez dzielnice Norrmalm i Kungsholmen. [przypis tłumacza]

[59] *cloche* — tu: rodzaj niewielkiego kapelusza z wąskim rondem. [przypis edytorski]

i ona sama od stóp do głów wydaje się tak idealna, że oglądający zastanawia się, czy owa doskonała postać to śmiertelniczka czy może jednak bezosobowa istota, która jest ponad tym, co w indywidualności żenujące i śmieszne — swoisty duch czasu...

Lecz tego wieczora nie ukazała się jeszcze na ekranie, na razie tylko jej zamek otwiera podwoje. Bal! Blask! Goście! Migotliwy przepych wieczorowych toalet. Mężczyźni o rozjarzonym, zakochanym spojrzeniu, powściągliwa grzeczność ujmujących dżentelmenów. Tymczasem lord Marmour...

Sam w niewielkim salonie. Jego nieco nijaka, choć o regularnych rysach, twarz wyraża niepokój. Gdzie jest lady Marmour, jego ukochana, jego żona? Stary sługa, dozgonnie wierny, nic nie wie.

Reszta służby — nie, nikt nic nie wie.

Stary zdziczały park, rozedrgany grą księżycowej poświaty i ostro zarysowanych cieni, roztacza magię Szekspirowskich[60] czasów wokół krętych ścieżek i stuletnich pni. Listowie drży, cienie skaczą. Gdzieś daleko w tle eteryczna postać wyłania się z rozmytego światła. To ona! Lady Marmour — Bel Bird! Tymczasem głęboki cień zalegający pod dębem zagarnia delikatną postać mrocznym ramieniem — czarna sylwetka mężczyzny wychodzi jej naprzeciw.

Para nie jest jednak sama; ciemna postać kobiety w powłóczystej sukni — to zapewne jedna z zaproszonych dam — pojawia się na pierwszym planie. Widziała wszystko. Unosi suknię, rzuca jeszcze szybkie, złe spojrzenie ku tamtym dwojgu, którzy rozmawiają oparci o drzewo, i pośpiesznie kieruje się z powrotem w stronę zamku.

Serca widzów zalewa gorąco. Najwyraźniej chodzi tu o zakazaną namiętność. Bo o cóż by innego?

Kobieta

Oglądający mają wiele myśli, ale w tej chwili tylko jedną duszę i jeden wspólny sentyment. Siedzą na sali uczennice, które w swoim gronie próbują odważnie rozmawiać o erotyce, lecz zawsze towarzyszą temu wypieki na twarzy i nie do końca stłumione poczucie grzechu pierworodnego, którym jest bunt. Siedzą na sali rygorystycznie porządne panny, które nigdy nie zaznały miłości innej niż — wynikające z obowiązku — domowe ciepło w kręgu rodziców i krewnych oraz nadnaturalna czułość dla swojego pekińczyka. Siedzą na sali lekkomyślne trzpiotki, które emanują ckliwą wiarą w przeznaczenie, usprawiedliwiają wszystko i wszystko idealizują. Siedzą na sali mężatki, których życie przeszłe i przyszłe jest wyzute ze szczęścia, skrycie snujące fantazje o tym, kim mogły były się stać. Nie ma tam natomiast ani jednej kobiety, która w owej chwili wątpi w to, co widzi — czyż to nie ona sama stoi w tym parku, czyż stawką nie są jej najskrytsze marzenia, szczęście, które nigdy nie było jej dane? Piękna, bogata i wolna, niczym owo nierzeczywiste „ja" ze snów, będące dziełem nocy, każda jedna z tu obecnych znajduje się pod postacią Bel Bird w samym środku intensywnej przygody — lecz mimo wszystko całkowicie dozwolonej, bo to tylko film.

A panowie? Tych jest mniej; w większości przyszli tu, bo „ona" chciała. Gdyby nie to, pewnie wybraliby filmy przygodowe, w których męscy mężczyźni pokonują potężnych wrogów. Ale Bel Bird też jest warta kupna biletu. Ten jeden raz można przecież zobaczyć, jak kobieta powinna się prezentować.

Tymczasem nad zamkiem zbierają się burzowe chmury, a lady Marmour milczy i milczy (wiele zbliżeń). Aż wreszcie, po tym, jak mąż wybucha i artykułuje swe podejrzenie, ucieka zrozpaczona i wstrząsana dławionym bólem, zostawiwszy krótki, dumny list.

Lord jest sprytniejszy niż na to wygląda. Wpada na trop — nie swojej małżonki (widać ją w pociągu, zmierzającym do dalekiego kraju), lecz nieznanego mężczyzny, który znów pojawia się na ekranie. I tak po nocnych pościgach samochodowych i wielu trudnościach przenika do przestępczego podziemia Londynu.

(Tymczasem migawki z podróży lady Marmour — wiecznie niespokojna, zmęczona, ledwie żywa).

Knajpa. Nastrojowe, kiepskie oświetlenie. Podejrzane typy w zsuniętych na czoło czapkach z daszkiem. Kobiety o dwuznacznej prezencji. Bieda. Świat przestępczego podziemia. Świat szumowin i mętów.

[60] *Szekspirowski* — dotyczący Williama Shakespeare'a (1564–1616), angielskiego poety, dramatura i aktora. [przypis edytorski]

Otwierają się drzwi, w progu stają lord i jego zabawny, szarmancki przyjaciel — wyprostowani, szlachetni, w eleganckich płaszczach przeciwdeszczowych, ociekający wodą. Spotykają się dwa światy: honoru i wstydu.

Owe dwa światy są doskonale wszystkim znane — światło i mrok, dobro i zło — istnieją w wyższej rzeczywistości marzeń, w której żyją dusze, przeciwstawionej tej niższej, mniej intensywnej, w której ciała dzień w dzień obcierają się o nieprzyjemne, namacalne konkrety.

Widzowie są z najróżniejszych miejsc. Większość przychodzi z ciasnych przestrzeni — zostawili tam zapach kawy i woń smażeniny, zostawili kłótnie z sąsiadami i dokuczliwość żony stróża. Zostawili niezdrowe powietrze i ciężko zarobione pieniądze. Zostawili troskę o to, skąd wziąć na kolejny czynsz. Zostawili to wszystko, co nigdy nie zetknęło się z ich nierzeczywistym „ja" w księżycowej poświacie angielskiego parku.

Ale i nie zetknęło się z tym drugim światem — podziemiem! Codzienność jest wyblakła, nawet wtedy, gdy musi głodować i marznąć, lecz tajemnicze cienie wokół podziemia nie pozwalają tego zobaczyć. Codzienność jest niczym — nie daje się wpasować w czarno-biały świat marzeń i snów. Prowizorium w oczekiwaniu na szczęście, szczęście w wersji Bel Bird, w otoczeniu bogatych mężczyzn, samochodów i modnych kreacji — jak sądzą młodzi. Porażka, rozczarowanie — jak uważają starsi, świadomi, że muszą tu pozostać, w tym stanie pośrednim, w którym ani światło, ani cienie nie są dość mocne, by uczynić to wszystko interesującym; mogą mieć nadzieję, że dzieci zdołają wspiąć się wyżej, a tymczasem przychodzą tutaj gasić pragnienie, zaglądając życiu w twarz.

Akcja na ekranie rozwija się typowo. Wytropiony młody mężczyzna, z którym lady Marmour spotkała się w parku, okazuje się być jej zaginionym, upadłym, nieszczęśliwym bratem. Pogubiony w życiu, na koniec chory i zabiedzony, ledwo trzymając się na nogach, krąży po Podziemiu, a na ratunek przychodzi mu jedynie budzący litość włamywacz, który pod siermiężnym swetrem skrywa złote serce. To właśnie z powodu brata, by nie ujawnić jego hańby, lady Marmour całymi dniami milczała zlękniona, aż wreszcie uciekła od ukochanego męża, niezdolna dalej żyć w cieniu jego niegodnego podejrzenia. Jej dusza była równie krucha i szlachetna jak jej ciało. Lady idealna.

W żyłach brata płynie ta sama dumna krew. On też chce dokonać poświęcenia. By ratować siostrę przed hańbą, która ciąży na jego splamionym nazwisku, nie zgadza się porzucić mroku na rzecz światła. Lord Marmour i jego przyjaciel wiedzą jednak, czego wymaga poczucie obowiązku od dżentelmena. Z pomocą włamywacza, który traci przez to najlepszego, a właściwie jedynego, przyjaciela — ukradkiem ściera on łzę z pokrytego bliznami policzka (zbliżenie) — uprowadzają brata, bardzo już osłabionego. W tak zawiłej sytuacji dobrym rozwiązaniem będzie jego śmierć, która istotnie następuje w trakcie podróży do domu: brat, szczęśliwy jak dziecko, które po długiej tułaczce znów jest wśród swoich, wydaje ostatnie tchnienie w ramionach szwagra.

Nad Bel Bird-lady Marmour, która tymczasem trafiła na Rivierę, pojawia się niedający nadziei zachód słońca, który przynosi zmierzch wśród palm i oleandrów. Ona jest już niemal u kresu sił!

Wreszcie, po długich poszukiwaniach, zostaje odnaleziona. Pracownica hotelu, stara, dobra kobieta, właśnie uratowała ją od samobójstwa (gaz). W kurczowo zaciśniętej dłoni nieprzytomnej damy tkwi podobizna męża. W trakcie rekonwalescencji, szczęśliwa z powodu odzyskania dobrego imienia, lecz wciąż jeszcze słaba i poruszona wieścią o śmierci brata, lady Marmour spotyka się z mężem. Całą historię kończy długi pocałunek, sfilmowany oryginalnie i pięknie.

Widzowie wydmuchują nosy i podnoszą się z krzeseł, które składają się z trzaskiem. Było mimo wszystko piękniej, niż się spodziewali. To była wielka sztuka, taka, którą określa się mianem „uszlachetniającej rozrywki". Cisną się do wyjścia.

Jednorodna masa rozpada się na cząsteczki — takie można odnieść wrażenie. W rzeczywistości stanowi ona jedno, w o wiele większym stopniu niż w chwili, gdy światło zgasło po raz pierwszy. Uczestniczyła w sakramencie, zjednoczyła się w ciele i duszy niebiańskiej Bel Bird. Jeśli upojone spojrzenia Britt i Violi czymś się różnią, kiedy obie, niesione strumieniem ludzi, zbliżają się do wyjścia, to tym, że oczy Violi szybciej przyzwyczajają się do światła i z większym uporem trzymają się obrazów rzeczywistości. Viola kolejny raz i z głęboką niechęcią mierzy Britt wzrokiem. Bel Bird zawsze pozostanie je-

dyną w swoim rodzaju, niezrównaną, lecz niestety, ona sama, ani żadna inna, taka nie jest. Britt przechodzi obok. Zapomniała o tej drugiej. Uśmiecha się do siebie delikatnym, rozmarzonym uśmiechem. To odbicie półuśmiechu niebiańskiej Bel Bird.

Naprzód — w górę!

Istnieje wiele sposobów na to, by sprawdzić, kim jest dana osoba. Najprostszy to otworzyć książkę telefoniczną, o ile poszukiwany podał prawdziwe nazwisko i posiada telefon. Viola tak właśnie zrobiła i odnalazła w niej nazwisko Hill. Nosiło je kilka osób: handlowiec, porucznik, hydraulik, rzeźnik, nauczycielka pierwszych klas szkoły ludowej[61] i wdowa.

Nauczycielka odpadła od razu, tak samo wdowa. Choć może jednak? Mógł być przecież synem wdowy, telefon mógł być na jej nazwisko, jeśli na przykład prowadziła jakiś interes albo utrzymywała się samodzielnie w inny sposób. Czy jednak nawet w takim wypadku syn nie powinien figurować w wykazie osobno? W końcu nie był już taki młody — około trzydziestki, raczej po niż przed. Tak czy siak nie dało się tego wykluczyć. No to dalej.

Hydraulik, rzeźnik, robotnik przewozowy. Nie. Miał delikatne, jasne dłonie, bez śladów pracy fizycznej. Porucznik? Raczej na pewno nie, porucznik chodzi na tańce w mundurze. W przeciwnym razie zrobiłby z siebie durnia.

To musiał być handlowiec. Hill, Walter, Handl., Vallingatan[62] 3.

„Handlowiec", kim jest taki handlowiec? Czy matkę Violi, która prowadzi małą, ciemną trafikę, dałoby się nazwać handlowcem, gdyby była mężczyzną? Może. O takim, co chodzi od domu do domu i sprzedaje miotły i trzepaczki, też można poniekąd powiedzieć, że jest handlowcem. O takim, co w kolejnym już pokoleniu odziedziczył duże, renomowane przedsiębiorstwo, przecież też tak się mówi? A pomiędzy nimi są niezliczone stopnie pośrednie.

„Vallingatan 3" — niejasne[63]! Obejrzy budynek i klatkę schodową. Sama nazwa ulicy nic jej nie mówiła. Bo przecież są ulice i ulice. Można porównać adresy: Villagatan[64] numer taki a taki z jej własnym: Viola Petterson, Sigtunagatan[65] 8. Ale Vallingatan nie miała określonego charakteru.

Inny sposób zdobycia informacji to zapytać wprost tego, kogo sprawa dotyczy. Nie jest to niezawodna metoda, ale zazwyczaj można takie informacje w jakimś stopniu zweryfikować. Żeby wykorzystać ten sposób, trzeba jednak znać daną osobę bliżej, niż ona zna pana Hilla. Nie wystarczy, że się tańczyło w Novilli[66] oraz wymieniło intensywne spojrzenia i kilka zdań, przyziemnych pod kątem treści, lecz wymownych ze względu na sondujący ton.

Trzeci i najbardziej niezawodny sposób — mianowicie wypytanie znajomych mężczyzny — również wiązał się z trudnościami, ponieważ Viola nie znała nikogo z kręgu pana Hilla. Na razie nie było więc lepszego rozwiązania niż książka telefoniczna, a co do reszty, trzeba będzie wnioskować z tego, co po tamtym wieczorze pozostało w pamięci.

---

[61] *szkoła ludowa* — (szwedz. *folkskola*), funkcjonujący dawniej w Szwecji rodzaj powszechnej szkoły podstawowej, zapewniającej dzieciom elementarną wiedzę z różnych przedmiotów. [przypis tłumacza]

[62] *Vallingatan* — ulica w dzielnicy Norrmalm, w centrum Sztokholmu. Nazwa pochodzi od nazwiska Johana Olofa Wallina (1779–1837), arcybiskupa Uppsali (której to funkcji nie zdążył *de facto* objąć przed śmiercią) oraz poety, obecnie najbardziej znanego i pamiętanego jako autor psalmów, które w dużej mierze (obok sporządzonych przez niego przeróbek starszych psalmów innych twórców) składały się na *Szwedzki Psałterz* z 1819 r. (zwany również *Psałterzem Wallina*); pozostawał on w użyciu w szwedzkim Kościele luterańskim do 1937 r. Mimo iż nazwisko arcybiskupa było zapisywane przez „W", samą nazwę ulicy w latach 1885–1960 zapisywano przez „V". [przypis tłumacza]

[63] *Vallingatan 3 — niejasne* — prawdopodobnie chodzi o to, że nazwa ulicy Vallingatan niewiele mówi bohaterce, bo jest niewykształcona, ale ulica Villagatan (czyli Willowa) albo Sigtunagatan (Sigtuńska, od nazwy miasta Sigtuna) budzi w niej już bardziej konkretne skojarzenia. [przypis tłumacza]

[64] *Villagatan* – główna ulica w dzielnicy Östermalm w Sztokholmie. [przypis edytorski]

[65] *Sigtunagatan* — ulica w centrum Sztokholmu, łącząca Odengatan z Karlbergsvägen. [przypis edytorski]

[66] *Novilla* — budynek na sztokholmskiej wyspie Djurgården, wzniesiony w 1833 r., początkowo pod inną nazwą, jako sala balowa; w czasach świetności, w drugiej połowie XIX w., służył w różnych konfiguracjach jako kawiarnia, winiarnia, restauracja oraz scena rewiowa. Od lat 20. XX ponownie mieścił się tam klub dansingowy. Na początku lat 40. budynek został przejęty przez Skansen (muzeum na świeżym powietrzu, od którego nazwy własnej pochodzi polskie słowo „skansen" o tym samym znaczeniu) m. in. na potrzeby wystawiennicze. [przypis tłumacza]

Przysunęła głowę do oparcia kanapy obitej szarozielonym aksamitem w kwiatowy wzór, zamknęła oczy i spróbowała odtworzyć, jak wyglądał, gdy prosił ją do tańca.

Tak, był naprawdę przystojny. Brunet, miał w sobie coś demonicznego.

Odprasowany, zadbany, elegancki — takie robił wrażenie. Ile kosztował materiał na jego garnitur, nie potrafiła ocenić, nie była aż tak obeznana z modą męską. Za to koszula miała delikatny połysk — trikolin[67] wysokiej jakości. Krawat ładny i wyszukany — to zauważyła, ale nie mogła sobie przypomnieć kolorów. Na serdecznym palcu lewej ręki nosił sygnet z czerwonym kamieniem — wyglądał przez to na mężczyznę godnego zaufania i wyrafinowanego. Zapewne był handlowcem z lepszych sfer.

Obrączki brak. Hm, *mógł* ją, rzecz jasna, zdjąć, to się zdarza... Viola uśmiechnęła się wyrozumiale, może na wspomnienie jakiejś farsy filmowej. Gdyby Los tak chciał, to czy coś mogłoby stanąć na przeszkodzie? Obrączka na pewno nie. Są, na szczęście, rozwody, bez wątpienia wszystko dobrze się skończy. Nie, tego rodzaju podejrzenie odstraszało ją w tak małym stopniu — przynajmniej w owej chwili, w jej fantazjach — że raczej czyniło przygodę bogatszą w treść, bardziej niebezpieczną i ekscytującą, z zabarwieniem nieco tragicznym. No bo co będzie z tą drugą? Na takie rzeczy nie można jednak zważać, gdy walczy się o własne szczęście. Cały świat walczy o szczęście, silniejszy wygrywa. Wyprostowała jedną nogę — szczupłą, kształtną, w jedwabnej pończosze — i popatrzyła na nią z aprobatą. Miała swoje walory i była ich w pełni świadoma.

Powoli otrząsając się z tych aż nazbyt nierealistycznych marzeń, powróciła jednak do czystego prawdopodobieństwa. Przecież był jeszcze stosunkowo młody, dlaczego miałby tak wcześnie się żenić? W każdym razie byłoby prościej, gdyby nie był żonaty. Walczyć desperacko, pchać się w ogień, żeby zdobyć mężczyznę — coś takiego mogło dostarczyć wrażeń na jeden wieczór, kiedy siedziało się wygodnie w ciepłej sali kinowej, zaś w rzeczywistości oznaczałoby to, że będzie musiała jeszcze długo, długo tkwić na tej szarozielonej kanapie w kwiatowy wzór, zaścielanej dla niej co wieczór, i gapić się na białą, przetartą kapę na łóżku matki w rogu pokoju i na tego głupiego pieska z porcelany na komodzie, i słuchać głośnego tykania budzika dobiegającego z kuchni. Boże, jak bardzo zbrzydło jej już wszystko w tym domu! I ta pasmanteria, w której całymi dniami pracowała! Czy coś na nią jeszcze czeka! Znów z aprobatą popatrzyła na nogę.

Zresztą sama mogła dowiedzieć się, czy jest żonaty (wciąż jednak pod warunkiem, że faktycznie to on był Walterem Hillem, którego znalazła w książce telefonicznej); mogła zadzwonić na jego numer i poprosić do telefonu panią Hill. A jeśli taka by istniała i podeszła, i odezwała się w słuchawce? Wtedy zawsze można było posłużyć się takim wyjaśnieniem: „Tu Elektrolux[68], dzwonimy z pytaniem, czy moglibyśmy przyjść jutro o jedenastej zaprezentować nowy model odkurzacza" — i tym sposobem ani pani Hill, ani nikt inny nigdy się nie dowie, kto dzwonił. Zadzwoniłaby z budki telefonicznej, żeby matka też nie słyszała. Nie po to czyta się kryminał za kryminałem, żeby niczego się nie nauczyć. A jeśli pani Hill nabrałaby podejrzeń, zorientowawszy się, że to rozmowa z automatu? To niech sobie nabiera, przecież i tak nic jej nie zrobi.

Matka, Córka, Dom, Cisza, Milczenie

Dobiegł ją trzask drzwiczek kuchenki. Matka wróciła z trafiki i rozpalała ogień, żeby przygotować obiad. Viola słuchała szurania kroków, krążących między stołem, spiżarką i kuchenką. Wreszcie podniosła się z westchnieniem, które wyrażało tak niechęć, jak i współczucie dla niej samej i matki; i poszła pomóc w nakrywaniu do stołu.

Kobiety poruszały się w milczeniu między meblami w małej kuchni. Bo i o czym tu rozmawiać? Klienci pasmanterii nie byli bardziej interesujący od tych w trafice. Viola żywiła silne podejrzenie, że było wręcz odwrotnie — co prawda w sklepie pani Petterson kupowali głównie robotnicy, niemniej jednak mężczyźni. Ale co to obchodziło jej matkę? Ona już się nażyła z mężczyzną. W średnim wieku, zmęczona i trochę nieobecna, krążyła po kuchni, mamrocząc do siebie, jak gdyby była sama. Brzmiało to tajemniczo, ale Viola wiedziała, w czym rzecz — gdzie miały stać półmiski, ile jeszcze, zanim zapiekanka ze śledziem będzie odgrzana, jak bardzo zimno mogło być teraz w kuchni.

[67] *trikolin* — rodzaj merceryzowanej bawełny; nazwa ta pojawia się polskojęzycznych gazetach z lat 20. XX wieku, aczkolwiek wydawanych za granicą. [przypis tłumacza]

[68] *Elektrolux* — szwedzkie przedsiębiorstwo, powstałe w 1910 r., zajmujące się produkcją sprzętu AGD; z powodu tej nazwy dawniej w polszczyźnie słowo „elektroluks" oznaczało po prostu „odkurzacz". [przypis edytorski]

Viola rozłożyła talerze i widelce, poruszając się jak we śnie, nieprzyjemnym śnie. Cerata na stole wydawała się odpychająco zimna w dotyku, a apetyt Viola straciła już na samą myśl o starej zapiekance, która była nijaka nawet zaraz po upieczeniu, czyli przedwczoraj. Otoczone wysokimi budynkami podwórze tonęło już w mroku, ale okna na klatkach schodowych lśniły chłodnym, ostrym światłem. Panowała taka cisza, że tykanie budzika brzmiało wręcz gniewnie.

— Dzieciak obok znów się drze — odezwała się Viola.

— Mm — odpowiedziała matka, która w obliczu tego niezaprzeczalnego faktu nie miała już nic do dodania.

Matką krzykacza była niezamężna robotnica. Viola czuła dla niej lekką pogardę, bo tamta dała sobie zrobić dzieciaka, zaś pani Petterson żywiła do niej pewną dozę chłodnej, wynikającej z pryncypiów sympatii za to, że udało jej się ustrzec przed pułapką małżeństwa. Temat został już jednak przedyskutowany.

— Wychodzisz wieczorem? — zapytała matka powolnym głosem.

— Tak.

Jadły w milczeniu, a na kuchence grzała się woda do zmywania.

— Tylko nie narób sobie kłopotów — dodała matka i odłożyła talerz do zlewu, który miała akurat za plecami.

Viola zrobiła pogardliwy grymas.

— Przecież nie jestem jakąś tam głupią krową.

— Nigdy nie wiadomo. W końcu nie różnisz się od innych.

— Ech, co ty tam o mnie wiesz.

Pogarda

Znów zapadła cisza. I w tej ciszy pani Pettersson zaczęła zmywać. Viola wycierała naczynia. Jej zagniewane myśli krążyły letargicznie wokół ostatnich słów matki: „W końcu nie różnisz się od innych". Czy takie określenie nie zawiera w sobie bezgranicznej pogardy? Nie różnić się od innych oznacza to samo co być zerem, niczym. Inni! To są ci szarzy, bezkształtni, którzy do niczego nie doszli, którzy tylko trzymają się jakiegoś miejsca; może wezmą z kimś tam ślub, może będą mieli dzieci, całe gromady, które też nie będą się niczym wyróżniać. Nie różnisz się od innych! To zniewaga, zbyt ciężka, by w ogóle na nią odpowiadać. Viola znalazła odrobinę pocieszenia, kolejny raz spoglądając przelotnie na swoje nogi i stopy. Dlaczego ona nie miałaby do czegoś dojść? Ha, ona im jeszcze pokaże...

Kiedy zmywanie zostało zakończone, spojrzała na zegarek i włożyła płaszcz i kapelusz.

— Tylko nie szwendaj się za długo po nocy — powiedział powolny, zmęczony głos. — Wiesz, że nie będę mogła zasnąć, póki nie wrócisz.

— Tak, wiem — powiedziała Viola.

(Za każdym razem, gdy córka wracała do domu, pani Pettersson nieodmiennie spała już głębokim snem).

A potem zeszła po kiepsko oświetlonych schodach.

Tage ocalony

Niedziela, Nuda, Miasto

Niedziela...

To zadziwiające, że nieskrępowana wolność sobotniego wieczoru i błogie lenistwo niedzielnego poranka mogą być przygrywką do czegoś tak monotonnego jak niedzielne przedpołudnie. Skąd bierze się całe to tępe rozdrażnienie i ta irytacja, którymi właśnie ów dzień i ta jego pora są obarczone? Nie pomaga nawet to, że pogoda przyjemna, że spacerowicze w dużych grupach ciągną za miasto parami albo całymi rodzinami. Jakaś martwota wisi nad wszystkim, co dzieje się w niedzielne przedpołudnie.

Czy powodem jest samo miasto? Bez ciężarówek, bez rowerów, bez gonitwy, bez pośpiechu. To takie dziwne. Ludzie nie potrafią się odnaleźć. Krążą w oczekiwaniu na niedzielny obiad i wieczór, kiedy będzie można się zabawić. Panuje taka nuda, jaka musi panować w niebie — gdyby jakimś cudem udało się tam dostać po długim życiu spędzonym na nieinteresującej gonitwie, która, nie wypełniając czasu, i tak go zabrała. Co niby miało się porabiać, trwając tak w owym wiecznym odpoczynku?

Niedziela

Dla tego, kto nie ma pełnej ciepła i serdeczności rodziny, z którą można zjeść uroczysty obiad, niedzielne popołudnie staje się wyłącznie przedłużeniem przedpołudniowego

znudzenia. Zarówno Tage, jak i Viola utknęli w takiej właśnie gehennie, a kiedy już odbyli razem obowiązkowy i stosunkowo cichy spacer, ich humory nie były najlepsze. Niedziela to dzień stworzony jedynie po to, by zapewnić możliwość rozładowania ukrytych napięć, a oboje przeczuwali, że coś wisi w powietrzu.

Wylądowali w kawiarni z muzyką na żywo. Tam przynajmniej czas płynął nieco szybciej i nie trzeba było szukać tematów do rozmowy. Kawa i ciastko to mimo wszystko przyjemna aranżacja, tak samo jak muzyka.

Powietrze było gęste od dymu papierosów. Jego smugi płynęły przez salę szaroniebieskimi rzekami wzdłuż i wszerz, tworzyły nurty i wiry, falowały i wygładzały się, rozpraszały i na powrót skupiały. Przy drzwiach siedział blady młodzieniec z zatroskaną miną, który wydmuchiwał kółka dymu, jak gdyby miało mu pęknąć serce. Kółka powiększały się, traciły kształt i rozwidlały się na wielu poziomach w kapryśne linie i płaszczyzny, tworząc wiszące ogrody o brzegach układających się w zatoki i cyple — aż wreszcie bladły i znikały, pochłonięte przez szaroniebieskie strumienie. Papierosy to piękna rzecz, tak samo jak muzyka.

Muzyka, Sztuka

Muzyka jest chyba najbardziej tajemniczą ze wszystkich sztuk. Przechodzi z uczucia w uczucie bez pośrednictwa rozumu. Sztuki plastyczne — niebędące sztuką użytkową — zawsze przedstawiają coś, co z pewnością da się wpasować w naszą umysłowość, a literatura mówi za pomocą licznych warstw abstrakcji. Natomiast muzyka jest sztuką, która sytuuje się po drugiej stronie naszych schematów myślenia, jest sztuką zmysłów w nieporównywalnie większym stopniu niż wszystkie inne — a mimo to uważa się ją za najbardziej duchową. Zadziwiające! Czy stanowi ona może jakieś odosobnione dziedzictwo naszych rajskich czasów sprzed potopu, dziedzictwo świata, który jeszcze nie był rozdwojony na ciało i duszę? A zarazem jest nadzieją na odzyskaną niewinność, w której istota na nowo przemawia do istoty poprzez kolor, dźwięk, ruch, bez pomocy mniej lub bardziej nieporadnych usystematyzowań, nazywanych pojęciami?

Właśnie rozbrzmiewa prosta, miła melodia oparta na egzotycznej piosence ludowej, lecz mocno zmieniona przez kompozytora. Skrzypce z kontemplacyjnym spokojem rozpoczynają miarowe schodzenie coraz niżej i niżej, by po chwili rozjaśnieć wątłym, blednącym łukiem prowadzonym w górę. To pieśń rezygnacji. Motyw powtarza się i podlega wariacji, a nieustanny powrót, nieustanne łagodne schodzenie w dół nadaje tej prostej pieśni charakter uspokajającego fatalizmu. Potem wkracza też inny motyw — to budzi się niepokój, żądza, niecierpliwość. Wszystko jednak wraca do narzuconego, powolnego nurtu i niknie w melancholijnej ufności w nieuniknione.

Można wyobrazić sobie wiele życiowych sytuacji, skrywających się pod taką melodią. Gdyby jednak próbować je do niej dopisać, będą one jedynie przekładem na równoległy język i tylko jeszcze bardziej oddalą nas od bezpośredniego zetknięcia z pięknym, niezmąconym przeżyciem.

Wśród obecnych, którzy dzisiejszego wieczoru słyszą tę melodię, nie ma jednak nikogo, kto słuchałby kompozytora. Któż pragnie przeniknąć doświadczenia papierosa, kto chce uchwycić duszę kawy i ciastek? Wszystko to służy jedynie wywołaniu owego przyjemnego stanu, gdy marzenia stają się lekkie i jasne i zaczynają dryfować. To tak zwane stymulanty.

Parę osób mimo wszystko bije brawo. Rozpoznali melodię.

Tage i Viola nie klaszczą. Ich myśli istotnie zaczęły dryfować, lecz nie są ani jasne, ani lekkie.

Pozycja społeczna

Viola ma poczucie, że coś się dzieje, albo raczej, że może powinno się dziać, ale się nie dzieje. Podąża za spojrzeniem Tagego, a ono błądzi po sali, ale często powraca do stolika w pobliżu, przy którym dwie eleganckie młode kobiety popijają herbatę, paląc papierosy. O co tu chodzi? Tage je zna? Nie są szczególnie piękne, ale właśnie eleganckie.

Nie, nie zna ich. Obdarza je jednak tym, czym w tej chwili nie może obdarzyć Violi — szacunkiem. Należą do jego sfery.

— Nic dzisiaj nie mówisz — odezwała się Viola obrażonym tonem, który podirytował Tagego.

— A o czym według ciebie mam mówić? — zapytał, unosząc brew.

— Ale głupek z ciebie! — Viola tylko tyle potrafiła powiedzieć, lecz to wystarczyło, by dać jego rozmyślaniom nową pożywkę.

„Jest taka prymitywna", przyszło mu do głowy. „Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć? Pospolita i prymitywna. Te zmysłowe usta, które sugerują brak erudycji — naprawdę całowałem je wieczorami w bramie? W bramie! Jak jakiś filister. Taką dziewczynę bierze się od razu do pokoju, dlaczego tego nie zrobiłem?".

Tymczasem, odchyliwszy się na krzesłach, tamte dwie kobiety palące papierosy śledziły wzrokiem rozproszone ścieżki dymu, który tlił się niebieskawo, a potem blakł do popielatej szarości. Ta siedząca bliżej miała ładny profil i inteligentne, powściągliwe rysy. Taka kobieta to jednak zupełnie inna kategoria. Już sam sposób, w jaki bawi się papierosem. I te jej obojętne, szybkie spojrzenia, którymi obrzuca publiczność. (W porównaniu do Violi i jej oczu jak spodki!). Mówi się, że potrzeba trzech pokoleń, by stworzyć dżentelmena. By stworzyć damę, potrzeba ich z pewnością dwa razy tyle.

— Są w twoim typie? — zapytała Viola prowokująco.

— E, nieszczególnie, ale podziwiam ich maniery. Świadczą o erudycji.

Ten przytyk może zrozumiała.

Pozycja społeczna, Społeczeństwo

W ostatnim czasie zaczął odczuwać pewne pragnienie wyrafinowania i był z tego dumny. Wiedział też, skąd się wzięło czy też właściwie, jakie zdarzenie dało owemu pragnieniu zupełnie niedawno impuls, by się rozwijać: tańce u Landersów. Przede wszystkim za sprawą Britt. Im więcej o niej od tamtego czasu myślał, tym bardziej idealna mu się wydawała — esencja wykwintnego środowiska i przyjemnego zapachu... Środowiska, którego czuł się częścią i którego częścią chciał być. Wprawdzie sam wzrastał w prostszym otoczeniu, ale od zawsze chciał się z niego wyrwać. Jak to się mówi, był stworzony do innych rzeczy.

Za to Viola stanowiła koncentrat świata usytuowanego jeszcze niżej niż ten, z którego on się wywodził. Z nich dwojga to on miał bezwzględnie wyższy status. A mimo to fascynowała go tak długo. Poczuł chęć zemsty.

— W każdym razie takie giry daleko ją poniosą — stwierdziła Viola.

Tage zacisnął zęby, nie odpowiedział. *Tak*, kobieta z papierosem miała duże stopy. A Viola zauważyła to od razu. Vióla! Już samo jej imię było najohydniejszym zlepkiem romantycznego sentymentalizmu i poważnego braku erudycji. Vióla! Jakby czytał o tym w „Striksie"[69]. I to w takiej był na wpół zakochany. Giry! Vióla!

Wtedy właśnie Tage powziął decyzję — posiądzie ją. Wraz z pogardą wezbrało w nim pożądanie niczym fala przyboju i z pewnym zadowoleniem zobaczył, że papieros w jego palcach zaczął drżeć. Koniec z tą parodią sielanki! Teraz będzie inaczej.

Gwałtownym ruchem zgasił papierosa w popielniczce i chwycił Violę za nadgarstek.

— Wychodzimy.

Zapłacili i wyszli.

Przez całą drogę niemal nic nie mówili. Viola dąsała się, ale Tage nie zwracał na to uwagi; był pogrążony w myślach. Wreszcie zaszli na tyle daleko, że dosięgnął ją szary cień domu i matki i zwolniła kroku.

Teraz albo nigdy.

— Viola, chodź do mnie na chwilę. Wyjaśnimy to.

Jego głos obniżył się o kilka tonów i miał w sobie coś metalicznego, co od razu zwróciło jej uwagę, a zarazem zdradzało jego intencje o wiele bardziej niż słowa.

Nie bez satysfakcji zadarła dumnie głowę i zaśmiała się gorzko.

— Przecież ja nie mam manier — powiedziała. — Nie jestem dla ciebie dość dobra. To właśnie dziś usłyszałam i bądź pewien, że wyciągam naukę z tego, co słyszę. A teraz chcesz, żebym do ciebie poszła. Może myślisz, że jesteś jedynym mężczyzną, jakiego znam? O, nie, znam wielu, którzy są warci więcej niż dziesięć takich nadętych jaśniepanów jak ty. Znam nawet jednego, co...

Odwróciła się, weszła przez bramę i zamknęła mu ją przed nosem.

Z początku poczuł wściekłość, że został oszukany. Powoli ruszył do domu. Też coś! Trzeba się cenić wysoko, jak ma się na imię Vióla i stoi się za ladą w pasmanterii. Żąda się szacunku dla swej godności ludzkiej... Cnotliwa latawica z dansingu...

Nagle przez wściekłość przeszyła go na wskroś tęsknota. Ciągnęło go do Violi tak mimowolnie, w sposób tak instynktowny... Miała w sobie coś, czego potrzebował... Gdy

[69] *Strix* — ilustrowany szwedzki tygodnik satyryczny ukazujący się w latach 1897–1924, później połączony z inną popularną gazetą satyryczną „Söndags-nisse". [przypis tłumacza]

zdał sobie z tego sprawę, ogarnął go strach. A więc było aż tak źle. Uniknął niebezpieczeństwa.

Oto był jak święty Antoni[70], cudownie ocalony od pokuszenia. Zaś aniołem stróżem, który przegonił widziadło, stała się zapewne Britt. Jego fylgia[71], fylgia! Co by to było, gdyby naprawdę ugrzązł z tą Violą, ugrzązł tak bardzo, że nie mógłby się wyrwać... Straszna myśl. Viola jak ta kula u nogi. To już wolałby pierwszą lepszą ulicznicę — z taką przynajmniej nie ugrzęźnie ani cząstka jego „ja". Zaś Britt jak gwiazda przewodnia w oddali! Najwyraźniej takie było rozwiązanie.

Miasto, Noc, Wolność

Stał tak na Sankt Eriksbron[72], przepełniony uczuciem ulgi — jak człowiek aresztowany chwilę po tym, gdy odzyskał wolność — i wpatrywał się w głąb miasta, które czaiło się we własnym blasku niczym olbrzymie, fosforyzujące zwierzę. Każdej latarni na nabrzeżu odpowiadała długa, nieruchoma, pionowa wstęga na wodzie, lewitujące kolumnady świetlistych stalagmitów, prowadzące do owego centrum, które właśnie budziło się do nocnego życia po całym dniu spoczynku. W tle, po lewej, unosiły się dwa migotliwe wieńce, diademy zdobiące głowy królewskich panien młodych — dwóch restauracji w Wieżach Królewskich[73]. Na wprost niego jarzył się budynek kina Palladium[74] niczym rozżarzona do białości łuna pożaru, zupełnie nie zważając na mały, śmieszny, czerwony sygnał stopu, zapalony obok (litery „N" „D" „A", ustawione w pionie jedna pod drugą). Tage wiedział, że tam są, choć z miejsca, w którym stał, nie mógł ich zobaczyć. Zaś ponad miastem unosił się — jak cesarska korona ze światła, na znak tego, że nie samym chlebem żyje człowiek — wielki neon: „Czytaj «AfA»[75]!". Tymczasem nad dachami reflektor dużego domu towarowego, w nieustannym ruchu, o nieprawdopodobnym zasięgu, rozpościerał swe opiekuńcze, błogosławiące ramię-widmo ze świetlistej teleplazmy[76].

Był wolny! Tam, jak okiem sięgnąć, rozciągało się jego królestwo. Zawarł pakt z miastem, leżącym u jego stóp, a triumfalna korona cesarska stanowiła zapowiedź jego przyszłości. I kiedy tak stał na moście wstrząsanym dudnieniem tramwajów, spowity wilgotną chmurą białej pary ze zmierzającego na północ pociągu, który przejeżdżał wzdłuż nabrzeża na dole, uniósł głowę i z lekkim uśmiechem pokiwał nią w kierunku rozświetlonej panoramy — tak jak kiwa się ukradkiem do swojego rozsądniejszego „ja", gdy dokona ono mądrego wyboru.

Koronki

Moda

Panna Jansson ubiera manekiny na wystawie. W tym roku obowiązują koronki w najróżniejszych kolorach. Suknie wieczorowe całe z koronki, żakiet z długimi rękawami z koronki, spódnica niemal sięgająca podłogi; bladozłote, bladoróżowe i czarne koronki — wszystkie przejrzyste niczym pajęczyna.

[70] *święty Antoni* a. *Antoni Wielki* (250/251–356) — egipski pustelnik i opat, uznawany za twórcę anachoretyzmu. [przypis edytorski]

[71] *fylgia* — w mitologii germańskiej duch opiekuńczy. [przypis edytorski]

[72] *Sankt Eriksbron* — Most św. Eryka; most w centrum Sztokholmu, który łączy dzielnice Kungsholmen i Vasastaden i prowadzi ponad wodami Barnhusviken, rozdzielającymi te dwie części miasta. [przypis tłumacza]

[73] *Wieże Królewskie* — (szwedz. Kungstornen), dwa bliźniacze, postawione w latach 20. XX w. budynki, wówczas określane mianem drapaczy chmur, również przez samą Karin Boye w liście do duńskiego tłumacza powieści. Do końca lat 40. były istotnie najwyższymi budynkami w Szwecji, usytuowanymi w centrum Sztokholmu, po obu stronach jednej z głównych jego ulic, Kungsgatan. Budowę wieży północnej ukończono w 1924 r., na jej najwyższych kondygnacjach znajdowała się początkowo restauracja Babel, a następnie klub nocny Blue Heaven, natomiast w oddanej do użytku rok później wieży południowej na najwyższym piętrze mieściła się restauracja Pagod (pol. Pagoda). Obie wieże dzięki oświetleniu górnych partii budynków od samego początku wyraźnie odznaczały się w nocnym krajobrazie miasta. [przypis tłumacza]

[74] *Palladium* — sztokholmskie kino, które w chwili otwarcia w 1918 r. było największym kinem w tym mieście, wyposażonym w ponad 1200 miejsc. Budynek kina był usytuowany przy ulicy Kungsgatan, przy Moście Królewskim (Kungsbron). Funkcjonowało ono w tym miejscu do 1987 roku. [przypis tłumacza]

[75] *AfA* — (szwedz. *Allt för Alla*, pol. „Wszystko dla wszystkich"), szwedzki tygodnik rozrywkowy ukazujący się w latach 1912–1932. [przypis tłumacza]

[76] *teleplazma* a. *metaplazma* (z gr.) — wyrażenie, używane przez spirytystów i okultystów na oznaczenie materii, wydzielanej przez medium podczas transu i przybierającej ludzkie kształty. [przypis edytorski]

Opadaj, kwiecie jabłoni, na ścieżkę, rozpostrzyj swój tiul, pierzasta, zielonobiała trybulo[77], w ażurowym, rozedrganym cieniu, tam, gdzie w sadzie jest najchłodniej, w zaroślniętym, milkliwym, sędziwym sadzie. Dawno, dawno temu w starym dworku...

Kobieta, Ciało, Strój

W długich spódnicach szeleszczą stulecia zawstydzenia. Kobiece ciało zawsze było czymś, czego należy się wstydzić, co trzeba dobrze skrywać pod warstwami marszczeń i welonów; często — czymś nieczystym, zawsze — niebezpieczną siłą, której pod żadnym pozorem nie wolno oswobodzić. A zarazem zaczarowanym klejnotem, schowanym pod skalnymi pokładami, czekającym na poszukiwacza skarbów. Czyż w obfitych koronkach modnych sukni, falujących w tańcu, nie szeleści przepych pieśni trubadurów?

Te same nogi, które w sali balowej tak kusząco przeświturywały zza na wpół skrywających je koronkowych falban, przed południem poruszają się jednak dość mocno odsłonięte pod krótką spódnicą spacerowej garsonki. W przedsionku krótkowłosa dziewczyna w kombinezonie stoi na drabinie i maluje, pogwizdując, a na fotografiach w sportowych dodatkach gazet widnieją roześmiane oszczepniczki i sprinterki w krótkich, obcisłych spodenkach.

Jedynie w wirze zabaw i przyjęć, niczym biżuteria, pojawia się skromność z krótką wizytą. Skromność ozdobą młodości[78]; sprawia ona, że jasne spojrzenie staje się jeszcze jaśniejsze, a zaróżowione policzki jeszcze bardziej różowe.

Kobieta, Dom

Lecz nie tylko skromność faluje wśród sięgających podłogi falban. Szeleszczą w nich także stulecia odosobnienia i pracy w czterech ścianach, mir i spokój domowej izby, przed której progiem mężczyźni pozostawiali narzędzia i broń, by ze złożonymi rękami zasiąść przy stole i czekać na przynoszone z kuchni parujące półmiski; syk ognia w kominku, owego centrum, wokół którego pod okiem mieszkanek obracało się życie; długa, monotonna pieśń zimowych wieczorów w blasku płonących polan i trzaskających szczap; matowy terkot kołowrotka, uderzanie krosien, parkotanie i bulgot z garnków i patelni. I kroki, kroki na schodach i na piętrze, którym zawsze towarzyszył rozkołysany rąbek długiej spódnicy, niczym stałe przypomnienie o istnieniu granic, biegnących tak blisko, bo wyznaczanych ścianami domu, a zarazem daleko, bo swoim zasięgiem obejmujących cały świat pracy i miłości.

I to ten właśnie świat mają wyrażać koronkowe treny? Poprzez zwiewną, nierzeczywistą postać mają odzwierciedlać nieustanną krzątaninę między kołyską, garnkiem i krosnem? Nie, schody, po których się ciągną, nie prowadzą do kuchni i piwnic, a granice, jakie wyznaczają noszącym je kobietom, są równie kruche jak one same. Pajęczyna!

Łaskawa, jak gdyby wznosiła w dłoniach cnotę, dom i tradycję, pozłacana lalka wystawowa wyłania się z rzeki koronek. Jej kuszące, wiotkie, kobiece kształty lśnią stylizowaną skromnością w swej pozłocie; uśmiech ma uroczy jak stare bajki o dawno minionych czasach, kiedy ludzie byli piękniejsi, lepsi i szczęśliwsi.

Za szybą wystawy przetacza się fala zmieniająca wygląd w miarę upływu doby.

Najpierw gazeciarki prowadzą swoje wózki w półmroku, kłapiąc butami po śpiących ulicach. To jednak staruszki — większość z nich — nie będą już podnosić wzroku, by popatrzeć na próżność i pustotę, nie dadzą się nabrać na staroświeckość powracającą za sprawą najnowszych mód. Niejedna sama dorastała w owej staroświeckości, która tymczasem stała się bajką, niejedna pamięta chatę na wsi, gdzie ojciec miał swoje zajęcia, a matka swoje, dokładnie określone pod względem rodzaju i wymiaru. Ich własna praca natomiast obejmuje swym zasięgiem ulice i kwartały wielkiego miasta i nawet jeśli mają spódnice równie długie jak te na manekinach, to jest to jedyna pozostałość odziedziczonej kobiecości.

Potem ulice pustoszeją. Mija sporo czasu. Na obrzeżach miasta rozlegają się fabryczne gwizdki, tramwaje zaczynają szurać po torach. Wytworna ulica handlowa za szybą wystawy jest jeszcze bezludna, lecz z oddali dobiega już dudnienie mnóstwa kroków, zmierzających do fabryk i warsztatów — i nie da się odróżnić męskich od kobiecych, kiedy tak posuwają się naprzód jedne obok drugich i przemieszane ze sobą. W tym masowym dudnieniu toną odgłosy długich, zahartowanych kobiecych kroków i lekkich dziewczęcych,

[77] *trybula* — roślina o pierzastych liściach i żółtych lub białych kwiatach, używana jako przyprawa. [przypis edytorski]

[78] *Skromność ozdobą młodości* — (szwedz.) *Blygsamhet är ungdomens prydnad*, szwedzkie przysłowie. [przypis tłumacza]

nigdy niepowstrzymywanych przez długie spódnice. Zostawiają za sobą pokój z kuchnią, w których ojciec, matka i dzieci sprzeczają się o przestrzeń, albo współdzieloną izbę ze wspólną kuchnią — co łączy je z odrodzeniem kobiecej kobiety? Astarte uśmiecha się jednak martwym uśmiechem drobnych, czerwonych ust. Tamte nie oddaliły się jeszcze tak bardzo, by nie dało się do nich dotrzeć po zakończonym dniu pracy. Bo czyż nie jest tak, że i robotnica z fabryki marzy o miłości?

Robi się jaśniej. Cieplej. Samochody ze świstem znikają za rogiem. Teraz idą pracownice biurowe, stenotypistki, maszynistki. Mijają wystawę jedna za drugą, każda z kopertówką pod pachą, a w niej kanapki na lancz. Idą raźnym krokiem, żeby się nie spóźnić, a ich zaspane oczy zdradzają, że trudno im było wstać. Aż tak bardzo jednak się nie spieszą i nie są aż tak zaspane, by nie rzucić okiem na kuszącą witrynę. Bogini z zadowoleniem spija ich poranną modlitwę. Jest do niej przyzwyczajona, przyjmuje ją o tej samej porze trzysta dni w roku — skupiona, cicha modlitwa, zanoszona przez gromady młodych serc w drodze z wynajmowanego pokoju z pełnym umeblowaniem do biura.

Robi się cieplej. Słońce wędruje coraz wyżej. Teraz idą panie z zamożnych domów — na spacer, na zakupy, wypić razem kawę w cukierni. Duży salon odzieżowy organizuje w tym tygodniu pokaz mody. Z pewnością będzie na co popatrzeć.

Szczupłe, uwodzicielskie modelki przeciskają się zygzakiem między stolikami zajętymi do ostatniego miejsca. Siedzą przy nich głównie panie w średnim wieku; wiele tam niedopasowanych płaszczy na bezkształtnych sylwetkach, wiele obwisłych, zgorzkniałych twarzy, które z uwagą obserwują podrygujące biodra i ramiona. Powietrze jest gorące od żarliwych pragnień, westchnień i nadziei jak w domu modlitewnym gdzieś na prowincji — z tą różnicą, że tam pragnienia, westchnienia i nadzieje są wspólne, zaś tu stanowią najskrytszy sekret każdej z uczestniczek. O, Astarte, możesz zarzucić sieć i złowić wielkie naręcza złota. Z każdej zmarszczki na ich twarzach i z każdego zmęczonego spojrzenia wyziera tęsknota, zawiedziona, ale jeszcze nieumarła. Do twego ołtarza pielgrzymują tłumnie, zanosząc modły o pomoc, a ty dajesz im koronki...

Twój czas nadchodzi jednak dopiero o zmierzchu.

Koronka!

Samo słowo ma w sobie lekkość i grację gawota[79] tańczonego na dworze Ludwika XIII[80]. Przeplata się z samym sobą jak nitki w rękach koronczarek. Lśni śnieżną bielą jak białe chusty na głowach kobiet w rozmarzonych miasteczkach, w których życie płynie powoli wśród domów szczytowych porośniętych bluszczem, a w leniwym, brązowym nurcie kanałów przeglądają się białe łabędzie.

Był taki czas, kiedy ludziom się nie spieszyło...

Jak zdołali uniknąć gonitwy? Pojedyncze życie jest przecież tak krótkie, czyż nie powinno się zdążyć poczuć, posmakować i zobaczyć wszystkich tych rzeczy, które później trzeba zostawić innym, obcym?

Społeczeństwo, Obraz świata, Kobieta, Rodzina, Praca

W miastach koronczarek pokoje były zapewne duże i niedoświetlone, stały w nich wysokie skrzynie i ogromne, ciemne szafy. Gdyby uchylić ich ciężkie drzwi, można by zobaczyć dzbanki i półmiski, zbyt piękne i wartościowe, by wyjmować je na co dzień, za to zawsze używane od święta; i tak oto towarzyszyły one wielu pokoleniom, na weselach i pogrzebach, ale też innych uroczystościach. Zaś w skrzyniach leżały ubrania, obrusy i narzuty, które w podobny sposób starano się oszczędzać. Powiedzieć, że dobra te przechodziły z rąk do rąk, byłoby w najwyższym stopniu nietrafnym określeniem. Owe klejnoty rodzinne trwały, wiodąc niezmienne życie między ludźmi, chociaż ukryte i strzeżone, i to raczej ludzie zmieniali się w roli tymczasowych strażników wokół tego wspólnego centrum. Dzieci dorastały przy rodzicach jako odnowa i kontynuacja; i za każdym razem gdy synowie przyprowadzali do domów żony, a wydawane za mąż córki opuszczały swoje rodziny, to ród wiązał się z rodem po dokonaniu starannej oceny. Spod białej chusty oczy mogły spokojnie spoglądać w ograniczony świat. Po krótkim życiu na ziemi miały przed sobą nieskończoność — nieskończoność wieczności w niebie, a zarazem ziemską nieskończoność dzięki dzieciom, dzieciom dzieci i ich dzieciom.

[79] *gawot* — starofrancuski taniec dworski. [przypis edytorski]

[80] *Ludwik XIII* a. *Ludwik Sprawiedliwy* (1601–1643) — król Francji i Nawarry. [przypis edytorski]

Koronki, które prezentuje złoty manekin, są jednak innego rodzaju. Ich nitek nie splatały żywe palce — to połyskujące na niebiesko metalowe elementy stykały się z precyzją, napinały, nawijały i tkały. Lecz z boku żywe oczy śledziły przyprawiającą o zawrót głowy pracę maszyny, żywe ręce zatrzymywały mechanizm, nastawiały od nowa i uruchamiały.

Ciało, Dusza

Żywe oczy, żywe dłonie — to właśnie jest cenne u młodych dziewcząt, których gromady każdego ranka zalewają hale fabryczne i wylewają się z nich każdego popołudnia niczym szemrzące strumienie. Dlaczego nie zostały zredukowane do samych oczu i dłoni? Całe ciało wymaga tak wiele: jest głodne, więc trzeba je nakarmić, marznie, więc trzeba je ubrać. I towarzyszy mu tak dużo czegoś zadziwiającego, niebezpiecznego i nieobliczalnego, czegoś, co w dawnych czasach zawierało się w słowie dusza. Kto potrzebuje tego wszystkiego? Praca nie potrzebuje, maszyny też nie, nie potrzebują również akcjonariusze kartelu tekstylnego. One same potrzebują tego najmniej ze wszystkich, a jednak — biedne dziewczątka — zmierzają tylko ku niedoli, prowadzone przez owe dwa zbędne dary: ciało i duszę.

Radość

Latarnie rozkwitają blaskiem. Tak rozkwita całe miasto. Wszystko to, co dzień trzymał w zarodku, teraz wyzwala się i rozwija w wieczornych kaskadach światła niczym magiczne japońskie kwiaty w szklance wody. Dzień nie jest życiem. Praca nie jest życiem. Pracujemy, żeby żyć — a życie to wieczór. To radość, która zerwała się z uwięzi, sprawia, że miasto tryska fajerwerkami euforii. Gdyby tej rozświetlonej radości przyjrzeć się bliżej, można by rozpoznać wodę do włosów, tygodniki, marki samochodów. Czy to nie satysfakcjonujące, że służy ona również rozsądnym celom? Cieszmy się w każdym razie, że tak właśnie jest, bo gdyby było inaczej, nie mielibyśmy odświętnych świateł na ulicach.

Upojeni kwitnącym miastem ludzie dryfują w tę i we w tę niczym fluorescencyjne żyjątka, rozświetlające morze. Ciało, które towarzyszy pracującym dłoniom, i dusza, która towarzyszy sprawującym nadzór oczom, budzą się do ulotnych, aroganckich marzeń o własnym życiu — dokładnie tak, życia własnego jak najbardziej własna własność, bo niezwiązanego z niczym innym. Niezwiązanego z wykonywaną za dnia pracą. (Ta budzi odrazę — co ja mam z nią wspólnego, zapomnij!). Niezwiązanego z duszną kawalerką, w której matka kaszle i się wykłóca, a na sznurku suszą się pieluchy młodszego brata i w której mieszka jeszcze rodzeństwo, więc ojciec wymyka się do kawiarni, by wypić piwo w milszym towarzystwie. (Co ja mam tam do roboty, wśród zgrai dzieciaków? Zapomnij!). Życie jest *tu* i *teraz*, to chwila między pustką a pustką, między fabryką a miejscem do spania. (Kto wie, czy dożyję jutra, kto wie, czy nie dopisze mi szczęście i nie sięgnę słońca, kto wie w ogóle cokolwiek?). Czyż nie zdarzyło się nigdy, że dziewczyny, które w jednym tygodniu wlekły się ulicą w roboczej sukience z bawełny, w kolejnym przemierzały tę samą drogę samochodem w wyszukanej wieczorowej toalecie z koronek, wyprodukowanych w fabryce, gdzie same wcześniej stały przy maszynach?

Miasto, Dzieciństwo

Są takie ciemne ulice, gdzie małe piekarnie i sklepiki spożywcze stanowią jedyne źródło anemicznego światła dla ubogich, które wcześnie gaśnie; są przygnębiające, zapuszczone czynszówki, obrzeża miasta, a tam nowe kwartały, wciąż jeszcze w budowie. Ukończony przed pięciu laty dom wystawia się do świata martwą ścianą ogniową, a jeśli w nieokreślonej przyszłości dobudują do niego drugi, to ten nowy nie zrówna się dachem z wcześniejszym, więc kawałek ognio-muru będzie nadal widoczny. Każdy odpowiada za siebie! Tak to wygląda. Na tyłach znajduje się ciemne, wylane cementem podwórko, podzielone żelaznym ogrodzeniem na sześć niewielkich czworokątów z sześcioma parami śmietników, po których to skrawkach chodzą nieszczęśliwe wypadki, zwane inaczej dziećmi; bawią się i ponad ostrymi sztachetami przerzucają wyzwiska do sąsiadów. Nie, tam jest za ciasno, nie, nie chcemy tam zostać! Chcemy wyprawić się na poszukiwanie przygód w blasku witryn sklepowych i neonów! Dlaczego to nie mogę być ja...?

Tymczasem iluminujące morze — radosnymi okrzykami o wodzie do włosów, tygodnikach i markach samochodów — zalewa tych wszystkich, którzy chwilowo zdołali zapewnić sobie miejsce w blasku. Rozświetlone żyjątka dryfują z prądem. Kto zostanie wciągnięty na dno? Nie ja, nie ja! Kto zostanie wyrzucony wysoko? Ja! Ja! W całym mieście odbijają się echem te same okrzyki nadziei i lęku: Ja! Ja! Właśnie teraz, w chwili rozgorączkowania, w momencie upojenia między pustką a pustką.

Panna Jansson ubiera manekiny na wystawie. W tym roku obowiązuje odrodzenie kobiecości, dziewiczości, macierzyńskości, całego tego dawnego piękna, o jakim zapomniano w powojennym czasie. Słodka kobiecość jest — i mimo wszystko pozostanie — kluczem, który otwiera zamknięte drzwi miłości. Kup sześć metrów koronki, sześć metrów kobiecości, a klucz będzie twój. I szczęście również!

Ogień i ołtarz

Wiosna, Młodość, Miasto, Zapach

To absurd, gdy miłośnicy przyrody sądzą, że w dużych miastach nie czuć wiosny. Widzą, że młode drzewa wypuszczają pączki i pod wpływem niezwykłych procesów chemicznych zyskują czerwonofioletowy odcień — jak mogą zatem nie zauważać, że młode ludzkie stworzenia wśród kamiennych murów również ulegają zadziwiającym przemianom; patrzą świeżym okiem, postrzegają świeżymi zmysłami, ostrożnie badają grunt, wypróbowując świeże, niewyraźne jak w półjawie, oszałamiające tęsknoty i pragnienia. Ludzie spotykają się wiosną i wydają się sobie piękniejsi, choć nikt nie potrafi powiedzieć, czy to istotnie pora roku sprawia, że cera jest ładniejsza, usta bardziej czerwone, a chód lżejszy; czy zmiana zaszła raczej w spojrzeniu patrzącego — tak jest pijane od soków wzbierających od środka.

Prowincja czy miasto, cisza lasu czy dudnienie kroków i ryk klaksonów — dla kogoś, kto ma szesnaście lat, nic nie pozbawi wiosennego powietrza owej żądzy przygód, rozedrganej do utraty tchu. Nadchodzą dni, kiedy wszystkie dźwięki niosą się po suchych ulicach wyraźniejszym echem, wszystkie odległości zdają się mniejsze niż zimą i wszystkie działania są na wyciągnięcie ręki, tak zadziwiająco możliwe, jak gdyby człowiek ocknął się z zimowego odrętwienia i powrócił do rzeczywistości. A potem zapada zmierzch, rozbudzony jeszcze bardziej niż dzień, intensywnie niebieski i ekscytujący chłodem.

Britt włóczyła się samotnie ulicami w podwójnym upojeniu — wiosną i szesnastym rokiem życia. Niosła ją fala intuicyjnego przypływu mocy, tak że niemal nie czuła ciężaru własnego ciała. Intuicyjny przypływ mocy — nie wiedziała, skąd ta siła ani do czego jest zdolna, w połowie nienasycenie, w połowie pewność zwycięstwa. Uczucie, któremu nie odpowiadało w pełni żadne uchwytne wyobrażenie, a które rozglądało się na wszystkie strony w poszukiwaniu czegoś, co można by wziąć w posiadanie.

Dziecko, Dojrzewanie

Dorosły cynik, który zdążył ukończyć dwadzieścia lat, lekko uśmiecha się z nostalgią. „No tak", myśli, „ot, dojrzewanie...".

Ot, dojrzewanie, jak nic dojrzewanie. Czy oznacza to jednak, że nie trzeba mu w ogóle poświęcać uwagi?

Dziecko odkrywa świat — jak to się mówi — świat, albo — jeśli ktoś woli nazwać to inaczej — własne możliwości rozkoszy i ekstazy. Kolorowe kwiaty, ciepło słońca, miękka sierść kota, słodki miąższ owoców i ożywcza lekkość, jaką daje ruch — wszystko jest zwycięską zdobyczą, pozyskaną dzięki zmyślnie wykształconym, zdrowym organom, które poprzez swój wieczny głód dysponują mocą, by nadać treść i wartość temu, czego dotkną. Bo moc ostateczna, ta, która nadaje rzeczom wartość, to moc głodu. Zaś dojrzewanie oznacza nowe organy, nowe możliwości i nowe wartości, ponieważ niesie ze sobą niewyobrażalny przypływ głodu. Bezcielesnymi ramionami sięga po gwiazdy. Rozedrganymi nerwami wwierca się głęboko w ciało i ziemię. Ma moc tworzenia boskich podobizn ze wszystkiego, co pojawi się w zasięgu, ma moc, by u stóp swoich bogów złożyć siebie samo w ofierze. Jest chaosem, ale i nowym stworzeniem, dla wielu decydującym, dla wielu ostatnim. Dusze niczym reflektory krążą po omacku w kosmosie, by zalać kaskadą światła to, na co trafią, a gdy jakiś obiekt dostanie się w smugę blasku, wygląda, jakby jaśniał sam z siebie, jak jasny cel.

Britt włóczyła się samotnie ulicami. Niebieski zmierzch nad dachami drgał niespokojnie i lekko niczym skrzydła motyla. W dole, między rzędami domów ciemniał, przerywany oślepiającym światłem. To tam były neony, tam były sklepowe witryny. To tam były namacalne i kuszące przedmioty życia, wystawione na pokaz.

Ogromne szyby eksponują wszystko, co warto posiadać, i wszystko, czego warto pożądać. Jedno nie wcina się w drugie, wszystko współgra ze sobą niczym jedna wielka orkiestra światła, pod kierunkiem potężnego, lecz niewidzialnego dyrygenta — wytrawnego i sprytnego, takiego, który zna rezonanse ludzkiego serca i potrafi je wykorzystać.

Tutaj człowiek jest niesiony na falach pragnień, których sam nie potrafiłby nawet sobie wyobrazić, gdyby nie widział, jak promieniują w blasku i magii. Bo światło to nie wszystko. Rzeczy roztaczają też zapach... Zapach miłości, płci, przygody emanuje z roziskrzonego rozgardiaszu ulicy niczym delikatna woń perfum. Cała wspaniałość świata! I to wszystko dam tobie...[81]

Strój, Piękno

Wiesz, ile znaczy najmniejszy szczegół twojego „ja"? Nie wiesz? To spójrz na tę dużą wystawę, obok której przechodzisz. Zresztą, jak mogłabyś ją zignorować! Lampy są tak dobrze ustawione, że strumienie światła — zamiast oślepiać — pozwalają oczom spokojnie i z przyjemnością spocząć na pozbawionym cienia, jasnym wnętrzu. Jedwabne pończochy zostały tu wyłożone na pokaz. Sześć smukłych kobiecych nóg w pończochach światowych marek lekko opiera swe palce na dwóch stopniach różnej wysokości. Nic więcej, tylko nogi obleczone w delikatnie połyskujące powłoki, które nie krzyczą, nie wulgaryzują tak jak wyroby ze sztucznego jedwabiu i nie błyszczą za mocno; wręcz przeciwnie — kuszą tak miękkim połyskiem, że i dłoń, i oko chcą je czule pieścić. Drogocenna cienkość, a zarazem trwała jakość; skóra przeziera z odpowiednią skromnością, ukazuje się jedynie jako zawoalowana sugestia, swoiste coś, o czym nie wolno mówić wprost, ale i nie da się zapomnieć. Nic więcej, tylko nogi, lecz to wystarczy. Ich doskonały kształt i doskonały ruch sprawiają, że wszelka inna doskonałość staje się zbędna. Gdyby wyobrazić sobie, że zza tekturowej ścianki tła wyłania się twarz pasująca do owych nóg w jedwabiu — czyż jej wygląd nie byłby obojętny? Z takimi nogami nawet jako zjawa bez twarzy można by wejść światu na głowę.

Dlatego więc zwróć uwagę na potencjał twojego wyrazu. Naokoło, rozłożone w kształcie wachlarza, na drugim, szerszym układzie stopni, prezentują się szare i brązowe jedwabne pończochy w najróżniejszych odcieniach — od srebra po granit, od bladej, złotej poświaty po czarnobrązowy połysk skóry Negra. W zestawieniu z falującym jedwabiem, koronką albo aksamitem można uzyskać cudownie stonowaną kompozycję. Jaśniejszy bądź ciemniejszy niuans, chłodniejszy bądź cieplejszy ton może odmienić ową symfonię, jaką powinien stanowić strój kobiecy, może przesądzić o tym, czy całość zabrzmi w tonacji dur czy moll, jako przepełniony tęsknotą walc albo odważnie prowokujący jazz. Dobrać takie zestawienie kolorów, które najdokładniej, najgłębiej wyrazi osobistą indywidualność lub może tylko zależny od widzimisię nastrój danego wieczora — czyż nie jest to sztuka, tak samo wymagająca staranności, tak samo wyszukana jak literatura czy muzyka?

Witryna obok należy do tego samego sklepu. Na tle aksamitnego brązu, po nieregularnie biegnącej przekątnej zwiewnie opadają sztuki bielizny z jedwabnego trykotu w bladołososiowym kolorze. Ten sam miękki połysk i ta sama gładkość, ta sama nieprzezroczysta przezroczystość, a do tego coś jeszcze: w zestawieniu z ciężkim, ciepłym brązem subtelny jedwab emanuje apetyczną delikatnością przypominającą — no właśnie, co? Britt nie wie. Bierze głęboki oddech, podziwia i snuje mgliste marzenia.

Na jednej z wystaw dużego salonu meblowego widnieje zastawiony stół. Ciężkie meble dębowe stoją, uroczyście ciemne, na tle starego gobelinu, na którym pasterze i pasterki swawolą pod gęstymi koronami drzew, a w srebrnych świecznikach, równie ciężkich jak meble, triumfują wysokie świece wśród przepychu owoców w salaterkach i róż w żardinierach[82]. Krzesła są puste, lecz przechodnie zaludniają pokój swoimi pragnieniami — kulturalne, niskie głosy męskie, dźwięczne śmiechy kobiet, czarne fraki, białe ramiona, feta i familiarne żarty. Przed szybą stoi licho ubrana dziewczynka w wieku szkolnym i z uśmiechem rozgląda się po pokoju — niczym gospodyni wita gości i zaprasza do środka.

Klejnot

Witryna jubilera... Na posłaniach z miękkich poduszeczek prezentują się pierścionki w dziesiątkach modeli. Gdy przechylić nieco głowę, brylanty budzą się do życia, strzelają

[81] *I to wszystko dam tobie…* — (szwedz.) *Och allt detta vill jag giva dig…*; możliwe nawiązanie do fragmentu Ewangelii wg św. Mateusza opisującego kuszenie Jezusa na pustyni; (szwedz.) *Åter tog djävulen honom med sig, upp på ett mycket högt berg, och visade honom alla riken i världen och deras härlighet och sade till honom: „Allt detta vill jag giva dig, om du faller ned och tillbeder mig"* (Matteus 4:8-9, *Biblia Kościelna* 1917, szwedz. 1917 *års kyrkobibel*). „Wziął go zaś djabeł na górę wysoką bardzo i ukazał mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich, I rzekł mu: To wszystko dam tobie, jeźli upadłszy uczynisz mi pokłon" (Mt, 4:8-9, cytat za *Biblią Wujka*). [przypis tłumacza]

[82] *żardiniera* — podstawka w kształcie skrzyni pod rośliny doniczkowe. [przypis edytorski]

wiązkami iskier i mienią się wszystkimi barwami tęczy. Niewinne niebieskie szafiry otacza łagodny, dyskretny połysk pereł.

Pies

Mały foksterier szorstkowłosy chciał zapewne poprowadzić swojego pana mimo migotliwej witryny, lecz nie może. Złapał na chodniku trop dużo bardziej ekscytującej, nasyconej woni niż ta, jaką emanują chłodne szyby — woni żywych wyziewów, od których burzy się krew, potęgując napięcie i oszołomienie. Ulega jednak władzy pana, a ten życzy sobie okazywać zainteresowanie obiektom bezwonnym — niezbadane są ścieżki człowieka, lecz być może w swojej mądrości wyczuwa on wonie błyskotek za szybą, dla niego równie kuszące jak dla psa owe opary, które unoszą się z błota ulicy niczym obietnice zbawienia.

Filigranowe, blade i blondwłose stoją manekiny na wystawie kuśnierza, spowite w okazałe futra. Wiewiórka, aksamitna i puszysta, piżmak, skunks i lis srebrny. Ciepło i przyjemnie, niemal usypiająco bezpiecznie — takie zapewne można mieć odczucie, zagłębiając się w aksamitną miękkość owego schronienia, gdy czyjeś silne dłonie unoszą za plecami obszerne futro i otulają nagie ramiona jedwabistym puchem, bo już pora opuścić przyjęcie i wyjść w chłodną noc. Iść tak u jego boku, pewna i niedostępna, podczas gdy on może tylko się domyślać, co skrywa jej płaszcz, co kryje to magiczne leśne stworzenie, którym zdaje się być spowita futrem dama. A w salonach samochodowych po drugiej stronie ulicy jej marzenia zyskują dalszy ciąg — królewski Rolls-Royce, taki sam jak ten przecinający ze świstem ciemność, który widziała w filmie kryminalnym w zeszły poniedziałek. Pełna wspaniałości jest ziemia[83], pełne bogactw życie, roi się w nim od cudów wszelakich.

Britt była zmęczona, ruszyła więc w stronę domu. Wiosenne powietrze mdli. Uśmiechnęła się jednak — szczęśliwa — do lekkiej, niebieskiej ciemności ponad dachami; w kaskadach światła na ulicy lśniła przecież cała wspaniałość świata. Reflektor znalazł swój cel. Ołtarz został wzniesiony. To wszystko dam tobie...

Tysiąclecia wydają owoce

Wkraczając do masywnego budynku, gdzie „Domowy Ład" i „Dla Rodziny" mają swoje redakcje i wspólną drukarnię — wydawane są pod tym samym kierownictwem — przechodzi się najpierw przez kamienny portal, który wydaje się przesycony masywnością całej budowli, całym ciężarem dudniących maszyn i skondensowaną masą całego nakładu. Granit! A jednak ta najbardziej stała ze wszystkich rodzajów stałej materii była rozpaloną do czerwoności, tryskającą lawą, nim zastygła i zyskała swą ostateczną formę — podobnie jak niezawodna maszyneria, a taką jest duży tygodnik, była wcześniej żywym duchem.

Kondycja ludzka, Dziedzictwo

Ludzie rodzą się, żyją i umierają. Powietrze przenikają ich myśli i pragnienia, w większości beztroskie niczym jętki i o równie krótkim życiu, ale są też inne, które przypominają raczej komary, krążące rojami wokół biednej ciepłokrwistej istoty w pochmurny letni wieczór. To najbardziej uparte stworzenia na świecie; w ich przenikliwym brzęczeniu można wychwycić ton uporczywego, samobójczego głodu krwi, przed którym nikt i nic się nie obroni. Takie to są owe myśli, które krążą wokół technicznego wynalazku, wokół problemu, który trzeba rozwiązać.

Żegnaj, nocny odpoczynku! Skupienie kręci się w jednym punkcie, wwierca się weń, nie daje spokoju, wywołuje zawrót głowy i szybsze bicie serca. Nawet sen, przychodzący nad ranem, wypełniony jest pracą; w marzeniu, które się śni, brzęczy ta sama komarza pieśń.

A wraz z porankiem — rozwiązanie! Jasny, jasny i spokojny dzień zwycięstwa! Można odetchnąć, tak jak z ulgą oddycha położnica po zakończonym porodzie, gdy dziecko całe i zdrowe leży już w jej ramionach! Istnieje coś, co wczoraj nie istniało. Coś jest pozyskane z tego, co jeszcze niestworzone, może tylko drobiazg, może nieznaczące ulepszenie, ale jednak jeden stopień schodów, jeden z tysiąca. Schody dla kogo? Schody dokąd? Gdzie

[83] *Pełna wspaniałości jest ziemia* — (szwedz.) *Härlig är jorden*; pierwszy wers jednego z najbardziej znanych skandynawskich psalmów, napisanego w 1850 roku przez Duńczyka Bernharda Severina Ingemanna (1789–1862), przełożonego na język szwedzki przez Cecilię Bååth-Holmberg (1857–1920) w roku 1884. Psalm ten śpiewa się bardzo często podczas ceremonii pogrzebowych, ale także z okazji świąt Bożego Narodzenia. [przypis tłumacza]

jeden skończył, tam drugi podjął w długim łańcuchu ciągnącym się przez epoki. Na co mieli nadzieję wszyscy ci, którzy za cenę nocnego odpoczynku materializowali swoje myśli w stali i żeliwie, tworząc wieczne dziedzictwo przekazywane poprzez wieki?

Za drukarnią, z której wychodzi „Domowy Ład", kryje się upływ tysiącleci. Same litery mają świętą historię, którą można odtwarzać z mozołem i kontemplować — poczynając od zarania Zachodu, gdy pismo alfabetyczne rozpoczęło swój triumfalny marsz i pokonało sylabariusz[84] i symbole, poprzez rękopisy w zwojach, pismo gotyckie i foliały[85], aż po wiekopomny dzień, gdy prasa drukarska Johannesa Gutenberga[86] stanęła gotowa.

Ciałem myśli jest słowo; duszą słowa jest myśl! Kiedy Gutenberg na łożu śmierci spoglądał wstecz na swoje życie jak na bajkę, która się skończyła, opowiedzianą przez nieznajomego, musiał słyszeć podmuch historii niosący prawdy w zwycięskim pochodzie — on, który zdołał uwolnić Słowo wiązane. Wszystkie ofiary, jakie poniósł, wszystkie rozczarowania, które stały się jego udziałem, wszystkie troski i niedorzeczności, jakie mogą pojawić się w życiu samotnego człowieka, musiały rozpłynąć się w coraz głośniejszym szumie dochodzącym z zewnątrz. Zbliża się! Nadchodzi! Już tu jest!

Jednak długa droga prowadzi od małej ręcznej prasy Gutenberga do ogromnej maszyny, która pracuje teraz na oczach wszystkich. „DRUKUJE SIĘ «DOMOWY ŁAD»", głosi świetlna reklama, a ciekawscy przystają i patrzą z podziwem na maszynę, z której schodzi następny numer w niezliczonych egzemplarzach — kolejny, kolejny, kolejny, kolejny, jak długo jeszcze będą tam stać i się gapić. Wiele nie widać, ale da się zauważyć przebłysk wypełnionych kolorem konturów; to intrygujące, zarówno ze względu na kolor, jak i nieustanny ruch.

Wkrótce nakład w liczbie dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy jest gotowy. Ciężarówki już czekają w szeregach na dziedzińcu, opuszczają się tylne klapy naczep, po rampach niekończącą się, barwną lawiną zsuwają się pękate paczki, a pracownicy układają je we wnętrzach aut, by zrobić miejsce dla kolejnych, które płyną i płyną nieprzerwaną falą. Załadowane po brzegi, niezgrabne ciężarówki wyjeżdżają za bramę jedna po drugiej i niedługo cały nakład zalewa kraj. W miastach, we wszystkich kioskach i trafikach przykuwa wzrok reklama: „Nowy numer!", a na dalekiej prowincji rozlegają się okrzyki radości, gdy ktoś, przedarłszy się do listonosza przez błotniste roztopy, wraca, wymachując „Domowym Ładem".

Drukarnia znajduje się na parterze. Uwijają się tam mężczyźni w niebieskich bluzach roboczych, palce mają umazane smarem. Piętro wyżej są korektornia oraz sekretariat. Tam pracownicy mają kołnierzyki, ale nie maturę. Na drugim piętrze mieszczą się redakcje — „Domowego Ładu" po lewej, „Dla Rodziny" po prawej; podział symboliczny, jak twierdzi personel, ponieważ „Dla Rodziny" specjalizuje się w królewskich rodach, natomiast „Domowy Ład" stawia na gwiazdy filmu i sportu.

— Redaktor Lindelöw? Bardzo proszę, czwarte drzwi po lewej... Nie, tym zajmuje się sekretariat, piętro niżej... Pani Morten jeszcze nie przyszła, proszę łaskawie poczekać...

Stukają maszyny do pisania, dzwonią telefony. Czasopisma są duże, a personel liczny, lecz organizacja znakomita — wszystko chodzi jak w zegarku.

Praca, Społeczeństwo

Drugie drzwi po lewej — pomiędzy ilustratorem i panią Morten (relacjonuje wydarzenia ze świata mody i jest ekspertką od spraw sercowych) — za nimi znajduje się pokój Tagego Werina. To tam Tage pracuje przy biurku, na którym stoi lampa z zielonym kloszem; jest pilny, ma dobre oko do literatury i dobre podejście — wie, jak postępować z ludźmi. Jego pozycja jest niepewna, nie ma tu jeszcze stałej posady, ale w chwili obecnej jest jedną z dwudziestu pięciu najważniejszych osób w tym miejscu, nawet pod względem duchowym — to jeden z tych, którzy selekcjonują treść. To człowiek, którego grono czytelników obejmuje co tydzień dwieście pięćdziesiąt tysięcy głodnych dusz, czekających na swój duchowy pokarm. W istocie jest tylko sługą, tak jak całe to czasopismo, tak jak wszystkie czasopisma są sługami, zaspokajającymi konkretne potrzeby ogółu. Trybik w maszynie społeczeństwa.

[84] *sylabariusz* — zestaw wszystkich znaków pisma sylabicznego. [przypis edytorski]

[85] *foliał* — książka drukowana lub rękopiśmienna. [przypis edytorski]

[86] *Gutenberg, Johannes* (ok. 1400 –1468) — niemiecki rzemieślnik, złotnik i drukarz, wynalazca pierwszej przemysłowej metody druku. [przypis edytorski]

Na biurku leżą rękopisy opowiadań. Ważne, by nie wybierać zbyt ponurych tematów. W każdym numerze co najwyżej jedna historia może mieć smutne zakończenie. W tym zakresie jest już wszystko, czego trzeba — *Wabik*. Kobieta lekkiego prowadzenia — dawniej mówiono „upadła", teraz mówi się „lekkiego prowadzenia"; czasy się zmieniają, a my wraz z nimi — kobieta wamp, piękna, lecz niebezpieczna, dostaje od bandy zbirów zadanie, by zwabić zamożnego młodego mężczyznę w pułapkę. Ten staje się bezradną ofiarą jej zniewalającej, mrocznej urody, lecz w obliczu jego męskiej szczerości i czystości po raz pierwszy w życiu budzi się w niej prawdziwa miłość, ratuje go zatem, narażając własne życie. On nie chce się z nią rozstać, więc, całkowicie odmieniona przez uczucie, kobieta poświęca się, wraca do świata, z którego przyszła i znika, a on już nigdy jej nie zobaczy.

Poświęcenie

Dobre. Nawet odrobinę pikantne. Nieco patetycznie szlachetne, dobre zwłaszcza dlatego, że to kobieta wamp się poświęca. Poświęcić niewinną, jasnowłosą młodą kobietę byłoby rzeczą niesmaczną, okrucieństwem; coś takiego przemawiałoby do niskich instynktów. Poświęcić kobietę wampa to jedyne właściwe rozwiązanie, odwołuje się ono do poczucia sprawiedliwości zwykłych ludzi.

Za to tutaj, dobra, jasna historia — *Niewidzialne skrzydła*. Historia o obiecującym, lecz nieco apatycznym młodym człowieku, któremu miłość daje taką siłę, że po zaledwie kilku latach zostaje dyrektorem dużego biura, ma willę i samochód. Dopiero gdy osiągnął ten cel, surowy ojciec dziewczyny wyraża zgodę na związek pary; okazuje się również, że w swej roztropności chciał jedynie przyszłego zięcia poddać próbie. Historia z dobrym morałem, optymistyczna i niewinna.

Tyle opowiadań wystarczy, ponieważ konieczna jest jeszcze kontynuacja dwóch tekstów wspomnieniowych. Gwiazda Joan Row zdradza: *Jak weszłam do świata filmu,* a Calver, wielki menedżer, mówi o tym: *Jak Bob Barkington zdobył mistrzostwo świata.*

Praca, Obowiązek

Tage robi sobie przerwę, rozciąga się — bynajmniej nie z lenistwa, lecz dlatego, że zauważył, jakie korzyści płyną z robienia sobie takiej małej przerwy co pół godziny. To racjonalne. Odchyla głowę i patrzy w sufit. Lubi swoją pracę, również dlatego, że ma tutaj poczucie pełnienia misji w świecie. Dociera do dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, nie, do większej liczby, dużo większej, ponieważ każdy egzemplarz czyta cała rodzina, nie wspominając o wszystkich numerach „Domowego Ładu", które trafiają do biblioteki, zakładu golibrody, poczekalni lekarza. Gwiazda filmu i bokser to wprawdzie nie Joanna d'Arc[87] i Engelbrekt[88], lecz oboje na swój sposób też są bohaterami, a z ich wspomnień emanuje rześki optymizm, który musi być zaraźliwy, wiara w powołanie do rzeczy nadzwyczajnych, która w wielu sercach musi budzić żar i nadzieję. Większość czytelników „Domowego Ładu" z pewnością ma raczej niewesołe życie. To prawdziwe dobrodziejstwo, jeśli dzięki takiemu pismu będą mogli jeszcze żywić jakieś małe, sekretne, migotliwe marzenie, które pozwoli im uciec od monotonii codzienności. Błogosławiona niech będzie iluzja — to jedyna pewna rzecz w tym niepewnym świecie.

Nawet niezgorszy aforyzm, a gdyby tak go zamieścić w Złotych Myślach? O, nie, nie będzie tam pasował, można by go źle zrozumieć, rzeczywiście brzmi trochę jak słowa kogoś odartego z iluzji. O rany, człowiek siedzi tu i próbuje być błyskotliwy. A praca czeka.

Do drzwi zapukał młody chłopak i wszedł, miał ze sobą dwie akwarele.

— Redaktor Lindelöw pozdrawia i pyta, którą pan redaktor woli.

Tage Werin zestawił ze sobą ilustracje. W jednej dłoni — pięknie wycieniowana łabędzia szyja, sarnie oczy, wykrój ust jak czerwona wiśnia, a wszystko to w otoczeniu jasnozielonego listowia brzozy. W drugiej — pełna sylwetka dziewczyny, spódnica targana wiosennym wiatrem, nogi, rozwiane żółte włosy, chabrowe oczy, wykrój i kolor ust taki sam. Niebieskie niebo, jasnozielone brzozy, czerwony drewniany domek.

— Chyba ten jest bardziej w moim guście — powiedział, patrząc uważnie na pierwszą ilustrację. — Nadzwyczaj piękne kolory.

---

[87] *Joanna d'Arc* a. *Dziewica Orleańska* (1412–1431) — francuska bohaterka narodowa, święta Kościoła katolickiego i patronka Francji. [przypis edytorski]

[88] *Engelbrektsson, Engelbrekt* (1390–1436) — przywódca szwedzkiego powstania trwającego od 1434 do 1436 roku, tzw. powstania Engelbrekta, przeciwko Erykowi Pomorskiemu, który był królem Norwegii (od 1389 r.), Danii (od 1396 r.) i Szwecji (od 1396 r.), a następnie nominalnym władcą tych trzech krajów w ramach zawartej w 1937 r. Unii Kalmarskiej, zaś od 1412 roku władcą samodzielnym. [przypis tłumacza]

— Redaktor Lindelöw woli ten z domkiem.

Tage skierował wzrok na drugi obrazek i przyglądał mu się z nowym zainteresowaniem.

— Tak, ten też nie jest zły. Może nawet lepszy. Rzeczywiście, te żółte włosy, rozwiana spódnica i cała reszta, jest w tym jakaś ożywcza niewinność. Ten chyba lepiej współgra z ogólnym duchem „Domowego Ładu". Najpierw pomyślałem, że jest trochę banalny, ale ludzie chcą czegoś takiego. Dobrze, przekaż redaktorowi Lindelöwowi, że ja też wolę ten z domkiem.

Wtajemniczenie

Gdy Viola rozglądała się po przedsionku, serce biło jej dość mocno, czego powodem mogło być napięcie, do którego nie za bardzo chciała się przyznać, albo samo wchodzenie po schodach — windy w tego rodzaju starym budynku brakowało, rzecz jasna. Że też poważny mężczyzna zadowala się takim mieszkaniem, można niemal poczuć się jak własna babka. A jeśli jej babka faktycznie wspinała się po tych schodach?! Aż tak stary ten dom chyba jednak nie był. Zresztą sama myśl wydała jej się śmieszna. W żadnym razie nie pokonywało się wtedy schodów, by, jak teraz ona, spotkać się z mężczyzną — w tamtych czasach było się niesłychanie przyzwoitą, nie chodziło się do mężczyzn przed ślubem. Choć, z drugiej strony, niektóre na pewno tak postępowały. Jednak traciły przez to reputację! Nie żeby Viola wiedziała cokolwiek o matce swojej matki, lecz miała poczucie, że kobiety, które zostają babkami, muszą bezwzględnie mieć nieskazitelną młodość.

Zatem teraz jest o wiele lepiej, teraz można się rozejrzeć i samej wybrać, zamiast tylko czekać na pierwszego lepszego.

To tutaj. „Carléhn", głosił napis, a poniżej wiele wizytówek, w tym jedna z nazwiskiem Gustav Hill. Żaden tam Walter Hill, handlowiec, i nie Vallingatan, tylko Norrlandsgatan[89]. Zupełnie na próżno poszła do automatu i dowiedziała się, że pod numerem trzy na Vallingatan nie ma żadnej pani Hill. Taka pomyłka. Był agentem z Norrköpingu[90], tak przynajmniej powiedział; powinna była pójść do centrali telefonicznej i sprawdzić numery w tym mieście, ale teraz to bez znaczenia. Do Sztokholmu przyjechał na krótko, w interesach.

Zdawała sobie sprawę, że to, co robi, ma swoje słabe strony, a wręcz jest ryzykowne. Bo co, jeśli kłamał, jeśli nie zaprosił na dziś wieczór większego towarzystwa? Co, jeśli zamknie za nią drzwi na klucz, a potem będzie tak, jak pisali w „Magazynie Kryminalnym"? Wtedy ona pokaże, jaka jest naprawdę — wysoka, niedostępna, o nieodpartej sile spojrzenia, która wywoła u niego wstyd... On jednak miał w sobie coś z szejka, może nie przejmie się tym, że ona próbowała okazać swoją siłę — w takim przypadku i tak nie zdołałaby zrobić więcej! Wtedy to naprawdę nie będzie jej wina, to na nim spocznie odpowiedzialność. A ten, kto ma nadzieję, że wydarzy się coś niezwykłego, nie może rezygnować za każdym razem, gdy robi się ryzykownie. Przecież to coś niezwykłego nie wejdzie pewnego dnia ot, tak do pasmanterii, ukryte pod postacią starej prukwy, żeby kupić zwitek białych tasiemek z bawełny!

Tak czy inaczej, może teraz się dowie, jak duże zrobiła na nim wrażenie i jak on zareaguje. Nie miała *absolutnej* pewności, że jest dżentelmenem, i właśnie to w całej sprawie było tak ekscytujące — choć trzeba przyznać, że do tej pory zachowywał się należycie; z kolei ten nudziarz Tage w żadnym razie nie zapewnił jej tyle rozrywek co Hill. Tage był jednak trochę interesowny. O Hillu nie dało się tego powiedzieć.

Jej serce najwyraźniej nie zamierzało się uspokoić. Mimo to zadzwoniła do drzwi.

Otworzył on. Ze środka dobiegały głosy — zatem byli też inni goście. Mogła już ostudzić emocje, nigdy nie przytrafiało jej się nic niezwykłego, nigdy, przenigdy, czego by nie robiła... Napięcie nieco zelżało, ale w jego miejsce pojawił się jakiś nieokreślony żal.

Odwiesił jej ubranie w przedsionku, z którego widocznie korzystała zarówno sama gospodyni, jak i jej lokatorzy, po czym Viola weszła do przestronnego pokoju z parą okien.

[89] *Norrlandsgatan* — ulica w dzielnicy Norrmalm w centrum Sztokholmu. [przypis edytorski]

[90] *Norrköping* — miasto w płd.-wsch. części Szwecji, w regionie Östergötland, liczące wówczas ok. 60 tysięcy mieszkańców i będące ważnym ośrodkiem przemysłowym. [przypis tłumacza]

Za stołem, zastawionym przekąskami, siedział mężczyzna, a na otomanie — kobieta; oboje elegancko ubrani, chociaż mężczyzna wydawał się poniekąd bardziej wytworny. Sprzęty poodsuwano na bok, zapewne by zrobić miejsce do tańca.

Jedzenie, Alkohol

Rozpoczęła się kolacja. Był tylko zimny bufet, bo przecież Hill nie mógł sam nic przyrządzić, ale za to duży wybór, do tego wino, a dla panów i tamtej kobiety wódka, bo Viola nie chciała. Jej zdaniem, źle to wyglądało, gdy panie piły wódkę. Tak po wiejsku. *Anchois* nigdy wcześniej nie próbowała, a Hill twierdził, że trzeba ich zjeść sporo, bo wtedy nabiera się cudownej ochoty na wino. Był homar z majonezem. Była galantyna. Wszelkie różności. Byle tylko nie przytyć, ani grama więcej.

Ta druga nie spodobała się Violi. Miała w sobie coś nieprzyjemnego. Naprawdę przyjaźniła się blisko z panem Hillem? Może tylko z panem Möllerem. Niska i okrągława — pewnie jadła wszystko, a w takim przypadku można winić tylko siebie — do tego jej zachowaniu zupełnie brakło wytworności. Nie za bardzo interesowała się Violą; zapewne nie uważa się innych za godnych uwagi, jeśli samej przychodzi się w jasnozielonej sukni z jedwabiu. Ale jak się jest tak grubą, to jasnozielona suknia z jedwabiu nic nie pomoże — w dodatku aktualnie model wszędzie mocno przeceniony, bo wychodził z mody. Jej pełnego nazwiska Viola nie dosłyszała, ale pan Möller nazywał ją Sussan, choć ona była z tego wyraźnie niezadowolona — albo udawała. Po co? Hill też mówił do niej Sussan? Co to za osoba właściwie? Dlaczego Hill ją zaprosił? Przedziwny gust.

Taniec

Po kolacji były owoce i wino; w rogu pokoju Hill nastawił gramofon. Tańce to tańce, zwłaszcza w taki wieczór, kiedy było się tylko we czworo. Miało to w sobie coś bardzo intymnego, a zarazem tworzyło poczucie jak na moment przed zadaniem ostatecznego ciosu, jak gdyby stawką było znokautowanie tej zielonej kolubryny. Nie powinno to sprawić większego kłopotu, skoro ważyło się połowę tego co ona. I Viola tańczyła jak nigdy wcześniej, tańczyła tak, że Möller mrugał do Hilla z wyraźną aprobatą.

Pomiędzy tańcami wznoszono toasty przy stole, a jasnozielona robiła wokół swojej osoby tyle hałasu, jak gdyby chciała zagarnąć dla siebie obu mężczyzn. „Każdy ma swoje sposoby", pomyślała Viola; i dla kontrastu była raczej milcząca, za to mówiły jej oczy i rzęsy. Hill wymieniał długie spojrzenia z Sussan, zapewne w ramach obowiązków gospodarza wieczoru, co jednak wyniosło technikę Violi na absolutne wyżyny. Chciała mieć Hilla u swoich stóp. Möllera też. A najchętniej i Möllera, i Hilla.

Niedługo po północy zniecierpliwiony sąsiad zaczął walić w ścianę.

— Nastaw jazz, to nie będzie ich słychać — powiedział Hill, więc Möller nastawił.

Wybiła ledwie pierwsza, gdy Sussan zebrała się do wyjścia. Musi jutro wcześnie wstać — wyjaśniła.

— A gdzie ma pani robotę? — zapytała Viola nieco zjadliwie.

Mogła na przykład zapytać: „Gdzie jest pani na posadzie?". Ale dlaczego okazywać łaskę wrogowi?.

— W Zjednoczonych Zakładach Czekolady[91] — odpowiedziała Sussan bez mrugnięcia okiem i śladu rumieńca; może pracowała tam w biurze.

— To ja odprowadzę pannę Petterson, zaraz też wyjdziemy, możecie iść pierwsi — powiedział Hill, po czym tamci ruszyli w dół po schodach.

Zamknął jednak drzwi. O! Tak, jak to sobie wcześniej wyobrażała!

— Violu, muszę z tobą chwilę porozmawiać — powiedział jej do ucha. — Nie możesz jeszcze wyjść.

Zgasił światło w przedsionku, poprowadził ją z powrotem do pokoju i usadził na otomanie. Zerknęła w bok spod rzęs — przepełniona uczuciem triumfu, ale i wyczerpana całym tym napięciem. W każdym razie to ona wygrała ten pojedynek.

— Mam coś dla ciebie — oznajmił.

Klejnot, Dar

Z małego etui wyjął cienki srebrny łańcuszek, na którym kołysał się wisiorek z kilku perełek, z bladym akwamarynem na końcu. Zdezorientowana patrzyła na naszyjnik.

To dla niej? Chciał jej to podarować? Niesamowite.

[91] *Zjednoczone Zakłady Czekolady* — (szwedz.) *AB Förenade Chokladfabrikerna*, szwedzkie przedsiębiorstwo produkujące wyroby czekoladowe (znane również pod nazwą *Choklad-Thule*), powstałe w 1910 r. poprzez połączenie kilku mniejszych fabryk czekolady. W połowie lat 20. XX wieku firma przeniosła całą produkcję do nowo wybudowanej dziewięciokondygnacyjnej fabryki w sztokholmskiej dzielnicy Kungsholmen. [przypis tłumacza]

Chociaż — mimo wszystko — zawsze sobie wyobrażała, że jej wielki dzień kiedyś nadejdzie, dzień, w którym zostanie obsypana wyrazami uwielbienia i bogactwem. Ale żeby tak ewidentnie, tak od razu... Zakręciło jej się w głowie.

Będzie jej w nim do twarzy, w tym łańcuszku — a była to istotnie pierwszorzędna, cenna rzecz, od razu dało się to zauważyć po niewymyślnym kształcie projektu. Sussan miała na sobie naszyjnik z pereł za dwie i pół, najwyżej trzy korony.

Powoli zapiął jej łańcuszek na szyi, ale nie odsunął dłoni. Viola siedziała bez ruchu, czuła, że jest wtajemniczana w coś nowego, coś wspaniałego. Tyle chciano jej ofiarować! Może nawet więcej! Nie była dla niego byle kim! W owej chwili czuła gorącą wdzięczność za to, że ktoś pragnął docenić jej wyjątkowość, wyrwać ją z szarzyzny i wprowadzić do świata przygód, takiego, o jakim marzyła...

— Violu — powiedział cichym, pieszczotliwym głosem — rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Pocałunek

Spojrzała na niego. Pochylał się nad jej twarzą, ich usta zetknęły się. Odczucie nie było szczególnie miłe, ale tak to właśnie ma wyglądać — w pocałunku mimo wszystko zawsze jest coś romantycznego.

— Violu — szepnął. — Czegoś takiego nie czułem jeszcze do żadnej kobiety, wierzysz mi? Jesteś inna niż wszystkie. Tak bardzo je przewyższasz, mała królowa.

Królowa. O, tak, od teraz będzie królową wśród kobiet. Wisiorek naszyjnika, stanowiącego znak wtajemniczenia, kołysał się z każdym ruchem jej głowy.

— Oj, tam, wcale nie — powiedziała tak cicho, że ledwie było ją słychać. — Nie ma we mnie nic niezwykłego.

— Nie wiesz, jaka jesteś naprawdę. Twoje włosy... Te cudowne włosy... Blask twoich oczu... Urocze usta... Twoje ciało...

Erotyzm, Seks

Pieścił ją namiętnie, jego dłoń głaskała szyję Violi, a potem wślizgnęła się w dekolt sukienki. Jej skóra była rozpalona, jego ręka zimna. Przyjemne uczucie, tak, chciała tego, tak to sobie chyba wcześniej wyobrażała, ale nigdy jeszcze tego nie robiła — nowe doświadczenie, nowe przeżycie, a nie zawsze tylko ta pasmanteria...

Zsunął jej suknię z ramienia. Czuła się tak dziwnie — może wino było mocne? Najlepiej zamknąć oczy... Potem jego druga dłoń... Niebezpiecznie... Jednak nie mogła się ruszyć...

Z westchnieniem osunęła się na otomanę.

Na dno?

Miasto, Noc

Ulica to rzeka. Zgiełkliwy pośpiech dnia to życie na powierzchni, parowce i łodzie transportowe na słońcu i wietrze. Pod powierzchnią są prądy i wiry, a przy brzegach głębokie niecki w dnie, w których woda niemal stoi — wszystko pogrążone w mroku, wszystko skryte przed wzrokiem, który wpatruje się w światło dnia nad powierzchnią. W głębinie dryfują ciała topielców o białych twarzach, których wkrótce już nikt nie rozpozna; więzną w mule i gęstwinach wodorostów i rozkładają się, zanim ktokolwiek je znajdzie, albo wyrwane z pułapki kolebią się na falach do brzegu — ku zgrozie i obrzydzeniu ludzi na powierzchni. Tak na pierwszy rzut oka wygląda noc ulicy.

Bo czymże są owe kobiety, które o tej porze snują się po mieście, jak nie strzępami i odpadami? Nocą długie ulice pustoszeją niemal zupełnie. Tu i ówdzie jarzy się jeszcze jakiś neon, ludzie wchodzą do klubów albo z nich wychodzą, ale świat się odmienił. Mężczyźni krążą w poszukiwaniu kobiet, kobiety krążą w poszukiwaniu mężczyzn. Widok grupek dobijających targu w rogach ulic można zinterpretować w jeden tylko sposób. Zgnilizna...

Lecz jakie znaczenie ma dla topielicy to, gdzie ugrzęźnie, dokąd dryfuje i jak wielką zgrozę budzi i obrzydzenie? Dryfujące w wirach ulicy to nie topielice.

Nawet te najgłupsze. Drobne, umalowane twarze bez wyrazu doklejone do drobnych, kształtnych ciał — drobne ciemki, które na oślep ciągną do płomienia, blasku, do rozrywek, drobne rybki, które mimowolnie nęci światło ponad czyhającym na nie ościeniem — nie ważą, nie liczą, bo ich głowy nie są stworzone, by ważyć i liczyć. Życie to życie, trzeba brać każdy dzień takim, jaki jest. Choroba i starość jeszcze hen, daleko, i zawsze

coś się zaradzi. Są dni ciemniejsze i jaśniejsze, ale nieszczęście, smutek, rozpacz — co przez to rozumieć? Za to mówiąc „*na dnie*", ma się na myśli umieranie.

Upadek, Pozycja społeczna, Kondycja ludzka, Prostytutka

Nie to ma na myśli tamta w rogu, wysoka, okrągława, o jaskrawoczerwonych ustach. Na dnie! Na dnie! To jak podzwonne, bim-bom, rezygnacja i rozkład. A jest, jak jest. Bezczelna, uśmiecha się, puszcza oko do posterunkowego, prędzej czy później wyląduje w Landskronie[92], ale nie dba o to. Nie pragnie niczego lepszego. Nikt nie ma takiego pecha jak ona, ale na jedno wychodzi. Jak się wkroczyło na tę ścieżkę, to... Jest z porządnego domu, poszła na swoje, zarabiała... Ni stąd, ni zowąd ujawniła się jej prawdziwa natura i potem nie potrafiła już się zmusić do wzięcia przyzwoitej posady. Brat przyjechał do miasta, doszły do niego słuchy, więc chciał ją sprowadzić do domu. Mój Boże, jak ją to wzruszyło! Mój Boże, jak ona tęskniła! Lecz nie da się wymazać swych postępków, a jak się wkroczyło na tę ścieżkę, to trzeba nią iść. Nie można być między ludźmi i udawać, jak gdyby nigdy nic. Przecież dobrze się wie, jakiego się jest pokroju, i to wstyd robić z siebie niewiniątko. Można tylko jedno — stoczyć się *na dno*.

Kawałek dalej stoi drobna, krucha kobieta; czeka pod latarnią. Senne światło pada na zalęknioną twarz o miękkich rysach, głowa, jak u ptaka, obraca się czujnie to w jedną, to w drugą stronę. Jest wystrojona na miarę możliwości, z nieco sfatygowaną elegancją. Jak się lepiej nie odszykuje, będzie musiała szukać mniej zamożnej klienteli.

Miłość

Wszędzie lubiana, ale i tak odprawiano ją z jednego miejsca po drugim, gdy wychodziło na jaw, co porabia nocami. „Mam w domu chłopa!", wymknęło jej się pewnego razu, na co kierowniczka restauracji odpowiedziała z oburzeniem, że tym bardziej powinna się dobrze prowadzić, skoro już ma chłopa! A przecież to on jej kazał iść. Nie przemogła się jednak, by to powiedzieć, bo czuła wstyd, że jest taką, co się godzi. Ale taką właśnie była. Była w nim zakochana. Próby samobójcze, sceny i wszystkie inne sposoby, których się chwytała, i tak kończyły się tym, że robiła, czego chciał. Tylko w powieściach miłość czyni ludzi lepszymi. Miłość deprawuje porządnego człowieka. Inni, ci, co nie wiedzą, jaka miłość jest naprawdę, mogą umilać sobie czas podziwianiem takich rzeczy.

Matka, Prostytutka, Poświęcenie

Tymczasem ulicą idzie wychudzona kobieta; z zawziętością zaciska dłonie, porusza się jakby ukradkiem, żeby braki nie rzucały się tak bardzo w oczy. Na nią też czeka ktoś w domu — synek. Teraz śpi. Rano musi iść do szkoły, umyty, ładny, porządny; na lekcjach będzie słuchał nauczycielki o czystym sercu, będzie bawił się z dziećmi o czystych sercach (aczkolwiek nie tak czystych jak serce nauczycielki, dzieci też już swoje widziały, chociaż są dziećmi, bo synek przecież chodzi jeszcze do szkoły ludowej). Na jedzenie, ubrania i czynsz matce ma wystarczyć te siedemdziesiąt koron, które dostaje na miesiąc, co przecież nie leży w ludzkiej mocy. Na razie ma jeszcze to. Gdy pewnego dnia ktoś ją nakryje, zostanie jej już tylko to, a potem nie będzie nawet tego — nie jest przecież młoda. Byle synek zdążył dorosnąć!

Na dno! Na dno! Dzwony pogrzebowe dzwonią ciężko, ale nie tak strasznie jak wtedy, gdy biją na alarm, bo wybuchł pożar, gdy jest jeszcze coś, co można ratować — wtedy dzwonią w przerażeniu jak szalone.

Za to elegancka kobieta, mijająca w pośpiechu wystawę salonu mody, na której manekin unosi uwodzicielskie ramiona w zagadkowym geście — ona nie stoczy się na dno. Ona wywalczy sobie miejsce w społeczeństwie. Do świadczenia drobnych usług chwilowo zmusza ją życiowa konieczność, bo ma kiepsko płatną posadę w biurze — ale tylko jeden wieczór w tygodniu, tylko tyle, by nie ucierpiało na tym jej zdrowie ani siły do pracy. To przecież w sumie nic takiego, o ile wszystko da się ułożyć w ten sposób, by nikt się nie dowiedział i jej nie zagroził. Spotyka tylu ludzi, że nie musi szukać klientów na ulicy. Wie, co należy zrobić, by uniknąć nieprzyjemności. Dziecko, nawet to poczęte w najbardziej przykładnym małżeństwie, stanowiłoby o wiele większą przeszkodę dla jej przyszłości, gdyby mąż był biedny. Miłość do biednego mężczyzny, choćby najniewinniejsza i najwłaściwsza, przekreśliłaby wszystkie jej możliwości. Ona jednak nie pozwoli, by coś stanęło jej na drodze.

Na dno! Na dno! To podzwonne dla nieprzystosowanych.

[92] *Landskrona* — miasto w płd. Szwecji; tu: w odniesieniu do Cytadeli w Landskronie (Citadellet, Landskrona slott), wybudowanej w połowie XVI w., w której przetrzymywano również więźniów; w XX w. (do 1940 r.) mieścił się tu zakład pracy przymusowej dla kobiet. [przypis tłumacza]

Zadziwiający to czas, pora dennych osadów. Współgrał z nastrojem Violi, gdy tak snuła się przed siebie — rozczarowana, zmęczona i pełna goryczy wobec tego, co się wydarzyło. Szła sama. Najpierw chciał ją odprowadzić, w tym sensie był dżentelmenem, ale gdy odmówiła, nie nalegał.

Zgasł już cały blask. Poświata, sącząca się z wnętrz sklepów, służyła jedynie ochronie przed złodziejami. W owym stanie porzucenia witryny salonu mody przypominały upiory. Twarde światło odległej iluminacji zmieniało manekiny w sztywne kukły, w kośćce, szkielety, odsłonięte, obnażone.

Wspomnienia, Dzieciństwo, Teatr

W pamięci Violi odżyło nagle wspomnienie. Uczestniczyła kiedyś w odgrywaniu scenek na uroczystości szkolnej. Pewna szczególna scenka przedstawiała nimfy, unoszące się nad zaroślami — Viola nie grała w niej, śledziła wszystko zza kulis. Gdy patrzyło się od tej strony, to dopiero była komedia! Zarośla powstały ze starych zielonych zasłonek, poprzyczepianych do krzeseł i wieszaków na płaszcze, a na krzesłach, drabinach i ławkach gimnastycznych stali jej koledzy i koleżanki, na jednej nodze z wyciągniętymi rękami, bo przecież mieli unosić się w powietrzu — też coś! W sali rozległy się okrzyki radości, potem usłyszała, że wyglądało to niczym rój motyli. Piękny rój motyli! Od tyłu sprawiało to idiotyczne wrażenie, nie miało sensu, jeden wielki chaos, chociaż wszystko było dokładnie rozplanowane, tak by dobrze się prezentować od drugiej strony. Mało brakowało, a wybuchnęłaby śmiechem, patrząc na scenkę zza kulis. Teraz miała wrażenie, że widzi właśnie tę odwrotną stronę, gdy ulice zrzuciły już maski i ziewały po odbywającym się za dnia spektaklu. Czyż nie tak wygląda całe życie? To, czego doświadczyła dzisiejszej nocy... *Kurwa* jego mać. Choć to nieładnie, gdy dama przeklina.

Widok kobiet na ulicy budził w niej niepokój. Nie mogła nie powiązać ich z tym, co właśnie przytrafiło się jej samej. Nie chciała stoczyć się i utknąć w bagnie; pragnęła wznieść się, piąć się w górę, tak wysoko, jak tylko zdoła.

Spotkanie

Gdy skręciła za róg, stanęła naprzeciw owej wychudzonej kobiety. Zmęczone, pozbawione obowiązującego za dnia poczucia wstydu, które skutkuje powściągliwością, mierzyły się wzrokiem. Viola wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w skamieniałą twarz lęku, jak gdyby chciała odczytać z niej swoją przyszłość. A potem z westchnieniem ulgi ruszyła w swoją stronę. Bardziej namacalnego potwierdzenia swej wyższości nie mogłaby otrzymać. Nie wiedząc, skąd to się bierze, rozumiała z instynktowną pewnością, że tamta w jakiś sposób była przykuta do swych rąk i nóg, zaś ona sama była wolna, zatem wciąż jeszcze nie poniosła uszczerbku.

Miasto, Pieniądz

I gdy tak szła dalej drobnym, zdecydowanym krokiem, trzymając się skraju chodnika, przypominała dzikie zwierzę w jego naturalnym otoczeniu — chroniona niczym tygrys, którego wśród cieni bambusów maskuje pręgowane umaszczenie, świetnie przystosowana do owego terenu łowieckiego oderwanych jednostek, jakim jest duże miasto pod rządami pieniądza.

Dobór naturalny

W porze obiadowej w stołówce u Trysella tłoczyli się studenci, biuraliści i nauczyciele bez stałej posady. Parowały klopsiki, szurały krzesła, odsuwane, gdy goście wstawali i siadali, dźwięczały stosy talerzy z niedbałą wprawą przerzucanych przez pracownice na duży stół, przy którym każdy sam sobie nakładał.

Praca, Społeczeństwo

— Słyszeliście nowinę? — zagadnął młody mężczyzna z kopiastym talerzem w jednej ręce i higienicznym etui na serwetkę w drugiej, wysuwając nawykłym, płynnym ruchem nogi krzesło zza stołu.

— Jaką? — zapytał bezbarwny drobny młodzieniec o ostrym profilu twarzy. — Że Tage Werin dostał stałą posadę?

— Ożeż! Naprawdę?

Dwaj pozostali, oderwawszy wzrok, każdy od swej naglącej czynności, patrzyli z wyraźnym napięciem.

— Tak — potwierdził nowoprzybyły. — Pięćset miesięcznie na początek. Już niedługo nie będzie musiał tutaj się stołować.

— Tak to jest, jak się ma wuja biskupa — powiedział ostry profil. — Zaraz, to przecież nie wuj, a stryj, i z tym biskupem to też raczej przesada, właściwie kierownik wydziału w urzędzie czy ministerstwie, ale poza tym...

— To kłamstwo — wciął się nowo przybyły, a różany odcień jego cherubinkowych policzków i odstających uszu nabrał nieco większej intensywności. — Tage Werin jest skłócony z wujem, odkąd nazwał go starym prykiem, gdy miał siedem lat, zaś co do biskupa, to Sten Hägerlund miał równie dobre, a nawet lepsze szanse, bo jego ojciec jest dyrektorem generalnym...

— Nie uważasz jednak, że to, co zaszło, musi mieć jakąś przyczynę? — powiedział tamten. — Czy sądzisz może, że wzięli go na stałe do „Domowego Ładu", bo wyciągnął szczęśliwy los?

— Przyczyna jest taka, że ma zdolności. Takie rzeczy niekiedy się zdarzają.

— Prawda, ale czy taki Sten Hägerlund nie ma zdolności? — powiedział drobny, nieśmiały młodzian w okularach. — Ja na przykład bardzo go cenię.

Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy darzyli Stena Hägerlunda sympatią, ale sukces pod postacią Tagego Werina rozkołysał emocje; były albo negatywne, jak u tego o ostrym profilu, albo pozytywne — u wysokiego cherubinka.

Wreszcie odezwał się czwarty w tym towarzystwie, mówiący wyraźnym skańskim[93] dialektem:

Obraz świata, Społeczeństwo

— Ja wam to wytłumaczę, bo wy w swej głupocie sami do tego nie dojdziecie. No, więc słuchajcie. Są dwa rodzaje zdolności. Jeden przystaje do uprawy roli i hodowli zwierząt, a drugi do myślistwa i rybołówstwa.

— „Domowy Ład" to hodowla zwierząt? Kóz czy owiec? — zapytał nieśmiały.

— Nie, to rybołówstwo. A więc... Starożytni Indusi, którzy najwyraźniej mieli nieco przesadne wyobrażenia na temat dziedziczności obu tych rodzajów, podzielili siebie samych i jedni drugich na ściśle odrębne kasty wspomnianej właśnie ogólnej natury...

— Swoboda myśli to rzecz chwalebna, lecz nazywana jest też blagą — westchnął ostry profil. — Ja w każdym razie słyszałem o zupełnie innych kastach niż te, z którymi rzekomo miałeś styczność. Kasty myśliwych i rybaków, raczej nie brzmi to znajomo.

— Aleś ty nierozgarnięty — powiedział flegmatycznie Skańczyk, wpijając wzrok w swego adwersarza. — Przecież można łowić i polować tak na ludzi, jak i zwierzynę. Kapłani są rybakami ludzi, z tego, co wiem. Zaś czym są żołnierze... Ale do rzeczy! No więc ci, co podzielili siebie samych i jedni drugich, rzekli tak: „Uprawą roli i hodowlą może się zajmować byle chłopek, w dodatku nudne to jak cholera. I męczące". Wtedy też połapali się w sprawie najważniejszej, że rolnicy i hodowcy od samego początku przeznaczeni byli do niższych kast. I tak oto zagnali innych do tej roboty, ze wspomnianych właśnie powodów, sami zaś zostali myśliwymi i rybakami (albo kapłanami i żołnierzami, jeśli już jesteście tacy akuratni i czepiacie się słówek), którymi to zresztą musieli być już wcześniej, ponieważ dostąpili zaszczytu przeprowadzenia owego podziału, skądkolwiek im ten zaszczyt skapnął. Ale wiecie, w obecnych czasach dokonano odkrycia naukowego, że takie rzeczy nie zawsze się dziedziczy, i dlatego najpierw ich sprawdzają, nim przydzielą im miejsce w hierarchii. I tak to okazało się, że Tage Werin należy do myśliwych i rybaków, dlatego został dopuszczony do wyższej kasty, a Sten Hägerlund, biedaczysko, pozostanie niżej, bo być może był tylko rolnikiem.

— Do czasu — powiedział ostry profil. — Jak słusznie zauważył kolega Lund, jego ojciec jest przecież dyrektorem generalnym. Dla takich rolników jest mimo wszystko nadzieja.

Ten w okularach uznał, że nadeszła pora wziąć Stena Hägerlunda w obronę w obliczu bezczelnego oskarżenia Skańczyka.

— Ja tego zupełnie nie rozumiem — oznajmił. — Jeśli ma to oznaczać, że Tage Werin to niejako typ lepszej proweniencji niż Sten Hägerlund, to chciałbym stanowczo zaprotestować. Sten...

Rozmowa nagle ucichła, bo przy dużym stole ukazał się sam Tage Werin i już po chwili kroczył, trzymając w gotowości nóż i widelec, niesiony skrywaną dumą.

— Czołem! — przywitał się.

[93] *skański* — dotyczący Skanii (szwedz. Skåne), regionu w płd. Szwecji. [przypis tłumacza]

Buchnęła ku niemu fala gratulacji niczym słodka woń. Są takie chwile w życiu, gdy zachowanie skromnego oblicza jest ciężką harówką.

— Tak tu sobie siedzimy i rozmyślamy, jak to się stało — powiedział z powagą Skańczyk. — Lund sądzi, że przekupiłeś szefa, więc jeśli to prawda, chcemy wiedzieć, czy za pieniądze Kreugera czy rosyjskie; zaś Lerberg uważa za bardziej prawdopodobne, że zawróciłeś w głowie jego żonie.

Tage uśmiechnął się tajemniczo. Na niezupełnie czystym obrusie paznokciem kciuka narysował krótkie kreski i zawijasy, jak gdyby najpierw musiał przedstawić sobie, jak do tego doszło.

— Sam właściwie nie wiem, co stary we mnie widzi — powiedział prostodusznie. — Tu coś skreśliłem, tam dodałem, napisałem nowe nagłówki i wyjąłem urywki z zagranicznych magazynów. No, mam chyba po prostu wyczucie, jak to powinno wyglądać. Wiecie, myślę nawet, że to zabawne...

— W tym pewnie tkwi cały szkopuł — stwierdził cherubinek Lund. — Żeby osiągnąć sukces w jakiejś robocie, trzeba ją w pierwszej kolejności lubić.

— Ten artykuł sprzed paru dni, *Dlaczego rodzice nie dają wiary córkom?*... Przetłumaczyłeś go zapewne z jakiejś amerykańskiej gazety? — zapytał Skańczyk.

— Nie, to akurat zrobiła maszynistka, ale ja go wybrałem. Czyżby było coś z nim nie tak?

— Wręcz przeciwnie, tekst w sam raz, dość pikantny, by wszyscy rzucili się na niego jak wygłodniałe wilki, i na tyle niewinny, by mogli poczuć się moralnie podbudowani, doczytawszy do końca. Dobrze doprawiony i zaserwowany. I jeszcze ten pensjonarski portrecik autorki... To pamiątka z twoich lat gimnazjalnych?

— Wygląda staroświecko? — zdziwił się Tage urażony. — Wycięte z „Top's Magazine", to królowa piękności z balu młodzieży w Denver[94]. Uznałem, że wygląda dość filuternie, by pasować do nagłówka.

— Kto w takim razie pisze te umoralniające artykuły? — zapytał drobny okularnik. — Bo przecież nie ty, a przynajmniej mam taką nadzieję.

— Oczywiście, że nie! Rozumiesz chyba, że nie chcemy służyć jedynie rozrywce[95], tygodniki odgrywają też istotną rolę w wychowywaniu społeczeństwa. Nie śmiej się, Lerberg, ja mówię poważnie. A te „umoralniające" artykuły, jak je nazywacie, w istocie nie są jakoś fanatycznie napisane, uważam je za całkiem inteligentne. No, nie dla mnie czy dla ciebie, rzecz jasna, my jesteśmy raczej na dużo bardziej zaawansowanym poziomie, ale piszemy przecież, to znaczy, nasz tygodnik pisze dla tysięcy najróżniejszych prostych domów gdzieś na prowincji, a ich mieszkańcy potrzebują czegoś takiego.

— I właśnie oni potrzebują również pincetki do brwi? — zapytał ostry profil.

— Niech mnie, widzę, że prześledziliście ostatni numer gruntownie. Czyżby z zainteresowania moją skromną osobą i jej wywyższeniem?

Był już cokolwiek rozgniewany i zaczął jeść szybciej.

— Nie, daję słowo — powiedział Lund. — Naprawdę wszyscy się cieszymy, to tylko takie żarty, nie bierz tego do siebie. Wiesz przecież, że dobrze ci życzymy.

W jego głosie pobrzmiewała autentyczna sympatia, więc Tage rozchmurzył się. Właściwie nie pragnął więcej, trudno byłoby udźwignąć sukces w pojedynkę.

— No tak, wszyscy wiemy, jak to jest i jak musi być w takim tygodniku — powiedział ostry profil przygaszonym tonem z nutą rezygnacji w głosie. — Sam też jestem dziennikarzem. Trzeba iść z prądem. Wartościowy tygodnik byłby albo tak nudny, że nikt by go nie kupował, albo tak niebezpieczny, że nikt nie chciałby go wydawać. Weźmy sobie na przykład ot, powiedzmy „Listek Figowy". Wystarczy jeden numer bez krwawych chińskich gangów i pięknych grzesznic na łamach... I śmierć głodowa! Czasopismu potrzebne jest to coś, szczypta szczypty, „*sex appeal*", że tak powiem. A wręcz, dosłownie, seksapil. Oraz*murder appeal*[96]. Ale wyobraźcie sobie, że szaleńca w jakiejś redakcji nie zadowala lekka, rozrywkowa szczypta, tylko zaczyna on grzebać w tym, co kryje się pod

[94]*Denver* — stolica stanu Kolorado w USA. [przypis edytorski]

[95]*służyć jedynie rozrywce* — (duń.) *blot til Lyst*; możliwe nawiązanie do znanego motta nad proscenium Starej Sceny Teatru Królewskiego w Kopenhadze, które brzmi: „*Ei blot til Lyst*" czyli „Nie tylko dla rozrywki". [przypis tłumacza]

[96]*murder appeal* (ang.) — pociąg do zabijania, instynkt zabijania, morderczy instynkt. [przypis edytorski]

ową ekscytacją, zaczyna obchodzić się z nią, jak gdyby była czymś poważnym; i tak, pismo może przetrwa, ale z szaleńcem koniec. Nie, sztuka jest zabawą, mówi Schiller[97], i w tym znaczeniu tygodniki z pewnością są wielką sztuką.

— A może założymy do spółki taki właśnie „Listek Figowy" — zaproponował żartobliwie okularnik.

Praca, Zazdrość, Pieniądz

— Nie, mój tygodnik będzie traktował o zbrodni i bieliźnie i stąd jego tytuł: „Przyjaciel Domu" — powiedział Lerberg. — Już ja wiem, jak zmontować coś takiego. Wybacz, Werin, po co ta hipokryzja? W końcu wszyscy zmierzamy do tego samego miejsca, tej właśnie ścieżce poświęciliśmy życie; nieco mniej czy więcej, tego nie widać. A prawda jest taka, że zazdroszczę ci tych pięciu setek miesięcznie.

— Ale dlaczego, na litość boską, skoro znasz się na tej robocie? — zawołał Tage z zachętą w głosie i nie bez zdziwienia. — Naprawdę zdajesz się mieć wyczucie co do potrzeb czytelników, choć wyrażasz to w sposób może zbyt dosadny. Myślę, że daleko zajdziesz, masz umiejętności i błyskotliwość. Przyznam bez bicia, że wiesz dużo więcej ode mnie. Tylko tak dalej! Pokaż, co potrafisz, zamiast siedzieć tu i na mnie wygadywać. Przecież sukces to nic złego.

— Gdyby tylko to nie było tak cholernie obrzydliwe! — powiedział tamten z grymasem.

— Lerberg, psia twoja mać, ty to jednak jesteś hodowca — rzekł Skańczyk. — Ktoś, kto ma szacunek do siebie i porządne ubranie na co dzień, nie może z tobą jadać przy jednym stole.

I z godnością wyszedł do dużej sali, żeby wziąć dokładkę klopsików.

Próba

Ojciec, Śmierć, Pogrzeb

Knut Landers nie żył. Nie Landers, ekspert od reklamy ze Sztokholmu, lecz jego brat, kupiec Landers z Riltuny.

Britt została wezwana do domu telegramem. Ojciec zdążył już umrzeć. Poszło szybko — zakrzep po prostym zabiegu operacyjnym, który ruszył sobie potem w drogę i dotarł do serca.

Pogrzeb minął niczym spowity czernią sen. Życie zostało wytrącone ze swych kolein. Przyszła Annalotta, objęła ją i powiedziała w ten swój dorosły sposób: „Dziecino, tak bardzo ci współczuję!". Annalotta — ona zawsze wiedziała, jak się zachować i co powiedzieć.

W kolejnym tygodniu odbyła się ważna rozmowa z matką, rozmowa, która miała rozstrzygnąć o przyszłości Britt.

Matka, Córka

Britt czytała skulona na kanapie w salonie, oczy nieco zaczerwienione, nieco blada na tle czarnej sukienki, nieco zmarznięta mimo majowego słońca. Weszła pani Landers i usiadła w fotelu przy drzwiach. Od śmierci męża w jej zachowaniu była jakaś nerwowa niepewność, zwłaszcza w stosunku do Britt, jak gdyby nagle ją dostrzegła i nie wiedziała, czego się po niej spodziewać. I siedząc tak, nie podniosła wzroku, by spojrzeć na córkę, tylko wyjęła z woreczka starą robótkę i wzięła się za szydełkowanie, więc Britt zrozumiała, że coś zostanie powiedziane.

— Możliwe, że to w dużej mierze wywróci do góry nogami nasze plany — oświadczyła pani Landers.

Britt wzdrygnęła się. Do tej pory wszystko wydawało się odległe i nierzeczywiste — powrót, zadziwiająca sytuacja w domu, żałoba — lecz przez cały ten czas w tle jawił się moment przebudzenia, który nastąpi, gdy, siedząc w pociągu, znów będzie patrzeć, jak Sztokholm niezmiennie ukazuje się w wiosennym słońcu i pośpiechu. A teraz coś miało się jednak zmienić? Coś, co jest blisko? Z niepokojem wpatrywała się w matkę.

— Ależ mamusiu, nie mówisz chyba o jakichś widocznych zmianach? — zapytała.

Pani Landers westchnęła.

— Nasza sytuacja finansowa zupełnie się zmieni, chyba rozumiesz.

Britt powoli przyłożyła głowę do poduszki — jak dziecko, które chce dalej spać.

— Nie musiała mamusia teraz tego mówić.

[97] *Schiller, Friedrich* (1759–1805) — niemiecki poeta, filozof, historyk, estetyk, teoretyk teatru i dramaturg. [przypis edytorski]

Pani Landers znów westchnęła, a na jej twarz wystąpił lekki rumieniec, wywołany mglistym poczuciem winy. Po części może to i niewłaściwe, by ot, tak zacząć myśleć o przyziemnych sprawach, gdy żałoba była jeszcze świeża. Po części błędem było też pewnie tak nagłe wmieszanie dziecka w zmartwienia dorosłych. A do tego wszystkiego dochodziła jeszcze świadomość, że miała ukryte zamiary, robiła podchody. Nie do końca przypadkowo bowiem podjęła ten wątek właśnie teraz, gdy strata wciąż jeszcze była zbyt tkliwa, by móc jej dotknąć, i gdy potrzebowały siebie wzajemnie najbardziej.

Bała się samotności.

— Tak czy siak zostało to powiedziane — stwierdziła raźnym tonem. — Dobrze, że to wyjaśniłyśmy, tak uważam. Dlaczego miałabym coś ukrywać przed własną córką? Przecież już tylko ty mi zostałaś!

Britt odwróciła się do matki i spojrzała na nią ze łzami w oczach. Uderzyło ją, że poniekąd sprawia ona wrażenie osoby żyjącej w biedzie. Może to przez żałobny strój; Britt zawsze kojarzyła żałobne ubrania z czymś ubogim. Ale było jeszcze coś w jej twarzy, która zdawała się wyrażać pustkę i osamotnienie — pewnie wyczerpanie zrobiło swoje.

— Ale mamusiu, co miałoby się zmienić?

— Obawiam się, że będziemy musiały, no wiesz, mocno oszczędzać na wszystkim. Jak bym nie liczyła, wychodzi na to, że i tak trudno będzie związać koniec z końcem.

Na chwilę zapadła cisza. Britt uważała, że ta sprawa poniekąd jej nie dotyczy — że nie powinna jej dotyczyć i było to wręcz zniewagą, gdyby istotnie miała ona ją dotknąć. To wszystko było po prostu nie do uwierzenia.

— Możliwe, że będziesz musiała postarać się o miejsce — powiedziała pani Landers.

— Jakie znowu miejsce? Chyba nie mówi mamusia, że tu, w Riltunie?

— Tak byłoby pewnie najlepiej. Mogłabyś tu dostać dobrą posadę w banku; rozmawiałam z rachmistrzem. Czy to nie jest warte rozważenia?

Britt zamknęła oczy. Riltuna. Trudno jej było sobie wręcz wyobrazić, że mieszkała tu i żyła ledwie rok temu. Tak naprawdę to nigdy, przenigdy nie czuła, że tu pasuje. Zawsze miała nadzieję na inną przyszłość, na coś zupełnie innego.

Zresztą to już nie ta sama Riltuna, gdy zabrakło tatusia. Nigdy nie czuła jego bliskości, wciąż był zapracowany, często w dalekich podróżach, w dodatku raczej zamknięty w sobie, ale mimo wszystko był — i życie toczyło się, jak powinno. Zaś to, że teraz wszystko zostanie wywrócone i przekreślone i trzeba będzie zmienić swoje plany, nosiło znamiona zdrady, krzywdy i złośliwości.

Rozczarowanie

— Nie chcę wrócić do Riltuny, a zwłaszcza teraz! — wykrzyczała Britt i zaczęła szlochać w poduszkę.

— Nie tak od razu, dziecinko, dopiero od jesieni...

— Gdyby mamusia wiedziała, jak ja sobie wszystko zaplanowałam...

Resztę słów zdusiły łkania.

Gdy te ucichły, matka podjęła wątek:

— W istocie pomyślałam sobie, że mogłybyśmy również postąpić inaczej. Mogłybyśmy zapewne rozważyć przeprowadzkę do Sztokholmu, jednak wówczas musiałybyśmy strasznie oszczędzać i żyć o wiele, wiele skromniej niż kiedykolwiek wcześniej, a ty musiałabyś znaleźć dobrą posadę i skrupulatnie dokładać się do wydatków domowych.

Wyprostowawszy się na sofie, Britt gapiła się przed siebie. Tak zatem wyglądała przyszłość. Tak zatem wyglądało spełnienie jej marzeń. Posada w biurze. Zdawało jej się, że już słyszy stukot maszyn do pisania, od rana do wieczora, od rana do wieczora... Że już czuje to zmęczenie, gdy po całym dniu pracy wraca do domu, gdzie czeka ją wieczór bez żadnych radości — wiecznie związana ograniczeniami, wiecznie w lęku o pieniądze. Nigdy już nie móc pozwolić sobie na wyjście choćby do kina. Siedzieć w domu u mamusi, która przecież była dobra, bezsprzecznie dobra, ale mimo wszystko... I to zamiast...

Wzbierała w niej tępa uraza — po części do matki, która siedziała tu sobie, nie mając pojęcia, ile pięknych marzeń o przyszłości zrujnowała każdym wypowiedzianym słowem, po części do stryja, który pozwolił jej zajrzeć do tego błyszczącego świata i uwierzyć, że ten może należeć do niej, po to tylko, by zaraz strącić ją z powrotem w mrok.

— A stryj Ragnar? — wypaliła.

Na twarz pani Landers znów wystąpił rumieniec, wywołany poczuciem winy. Spuściła wzrok.

— No, tak — zaczęła — jest pewna sprawa, której nie mogę ani też nie chcę przed tobą ukrywać. Stryj Ragnar napisał, że on i Märta chcą, byś u nich została, jeśli taka jest twoja wola, i opłacą niedługi pobyt za granicą, żebyś mogła poduczyć się języków.

Twarz Britt rozpromieniła się; westchnęła i opadła znów na poduszkę. W głębi ducha chyba wiedziała — wszystko to stanowiło jedynie swoistą próbę i ta próba była już za nią. Tak to się zawsze kończy.

Pani Landers śledziła jej ruchy z napiętym i rozedrganym wyrazem twarzy. Jak trudno było przeniknąć kogoś, kogo od zawsze traktowało się jako swoją bezsporną własność. Dlaczego nie miała odwagi po prostu nakazać Britt pozostania w Riltunie? Czy raczej — nawet jeśli miała odwagę — dlaczego nie chciała?

Głos jej drżał, gdy wreszcie przerwała milczenie:

— Rozumiesz chyba, że w takim przypadku nie mogę wyjechać z tobą do Sztokholmu, będę musiała zostać tutaj.

Jej oczy, większe niż zazwyczaj, wpatrywały się w Britt uporczywie. Czyż jako matka nie uczyniła jej dzieciństwa jak najbardziej spokojnym, wolnym i radosnym? Czyż Britt nie radziła sobie sama przez całe dorastanie, bez zmartwień i bez nakazów; zresztą, mała Britt, ona nigdy nikomu nie przeszkadzała. Czyż jako matka mogła odpowiedzieć inaczej w takiej chwili?

— Britt, zrobisz, jak zechcesz.

A Britt zastanawiała się, jak by tu wyrazić się najdelikatniej.

— Wie mamusia, mimo wszystko sądzę, że lepiej będzie zgodzić się na propozycję stryja.

Lepiej? Że też jedno słowo potrafi być tak nieprzezroczyste. Ileż to tysięcy myśli może kryć się za jednym, prostym słowem. Lepiej? Chciała przez to powiedzieć, że tak będzie lepiej dla nich obu? Że obawia się być dla matki ciężarem? Gdyby tylko właśnie to chciała powiedzieć... Tak przecież nie było, nawet w powierzchownym znaczeniu — wręcz przeciwnie — a nawet gdyby jednak tak było... Czy też może chciała powiedzieć, że...

Britt zsunęła się z kanapy, cicho przeszła przez pokój i przygarnęła się do matki niczym łasy na pieszczoty kociak.

— Mamusiu droga — powiedziała — rozumiem, że chcesz, bym z tobą została. Kochana jesteś, ale pomyśl o mnie, mamusiu...

Jedwab

Panna Jansson ubiera manekiny, ubiera je w jedwab. Zmieniają się mody, lecz odkąd jedwab przybył z Dalekiego Wschodu, należy do ścisłej elity tkanin.

Daleki Wschód... W tej bajecznej krainie rozżarzone słońce odbija się w złocie siedmiopiętrowych pagód[98]. W tej krainie stuletni mędrcy przeczesują białe brody palcami sękatymi niczym korzenie świętych drzew i mamroczą hymny i zaklęcia sprzed wielu tysięcy lat. W tej krainie królowie kroczą po purpurowych dywanach i marmurowych schodach, obuci w zdobione klejnotami sandały. Jak cudownie byłoby móc tam się schronić — tam, gdzie z tysiąclecia na tysiąclecie nic się nie zmienia — pielgrzymować przy dźwiękach świątynnych dzwonków i zapomnieć o szarej codzienności, która tu, na Zachodzie, zewsząd na nas napiera. Jak cudownie byłoby tam się urodzić, w świecie marzeń i snów, klejnotów i jedwabiu.

Jedwab... To naturalne, że taki materiał pochodzi z bajecznej krainy. Tkanina z kwietnych płatków; połyskliwa jak piwonia i tulipan, mieniąca się niczym narcyz, lekka jak dzwonek i powój. Tkanina niczym cera młodych kobiet — gładka i jedwabista, miękka i przejrzysta, delikatna, a zarazem mocna.

Czyż to nie zadziwiające, że nić na wytworny jedwab wytwarzają niewielkie larwy, roje brzydkich robaków, które jedzą, jedzą i jedzą, by potem zawinąć się w kokon? Gdyby tylko mogły się domyślać, co pewnego dnia powstanie z ich wydzieliny... Nie wiadomo jednak, jak by to przyjęły; jedwabniki zapewne widzą życie z innej perspektywy. Cały ich żywot to nic więcej jak tylko jeść i linieć, jeść i linieć, prząść, prząść, a potem zasnąć i we śnie coraz bardziej drętwieć w gorącej wodzie. I umrzeć — dla piękna.

[98] *pagoda* — buddyjska świątynia, mająca kształt wielokondygnacyjnej wieży. [przypis edytorski]

Dziecko, Praca, Okrucieństwo

Nazywa się Puh-li, namacza kokony. Jest jedną ze stu pięćdziesięciu dziewczynek w fabryce jedwabiu i wszystkie one namaczają kokony. To praca dla dzieci. Woda, która rozluźnia włókna i uwalnia nić, jest gorąca jak ukrop, a dzieci poza tym, że są tańsze, mają jeszcze tę zaletę, że ich palce wytrzymują więcej niż palce dorosłych. Bynajmniej nie w takim sensie, że istotnie na dłuższą metę im to nie szkodzi, lecz w takim, że znoszą wysoką temperaturę dłużej niż palce dorosłych.

Puh-li ma już osiem lat, ale jest mała jak na swój wiek, chuda i brzydka — jak większość dzieci tutaj. To tak jak z jedwabnikami — trzeba dopilnować, by dostawały smaczne i piękne liście morwy; jeśli będą jadły te marne, jedwab wyjdzie gorszy. Nie można oczekiwać takiego samego rezultatu od zaniedbanych jedwabników. Nie można też spodziewać się takiego samego koloru i wzrostu od dziecka, które nieustannie tkwi w bezruchu, w gorących oparach, i na pół głoduje — jak spodziewa się od tego, które biega na suchym powietrzu i od czasu do czasu najada się do syta. Jednak w przeciwieństwie do jedwabników Puh-li nie wytwarza przędzy, więc to jej własna sprawa, jaką wagę i jaki wygląd woli.

Dziecko, Bieda, Głód

Jej dom znajduje się daleko za miastem, więc Puh-li, razem z wieloma innymi dziećmi, nocuje w baraku, który na szczęście stoi nieopodal fabryki. Krótką drogę tam i z powrotem zna bardzo dobrze — od sprzedawcy sprzętów domowych, niezmiennie siedzącego przed swoim rozpostartym kramem na rogu, po stos odpadków, w którym grzebią świnie, psy i ubogie dzieci. Jej też zdarzało się tam grzebać, lecz po części jest na to zazwyczaj zbyt zmęczona, po części inni mają do tego niejako większe prawo, bo ona przynajmniej dostaje codziennie w fabryce miskę zupy z cebuli.

Na poprzecznej ulicy widać schody prowadzące do świątyni. Mogłaby narysować je z zamkniętymi oczami, gdyby potrafiła rysować, lecz nigdy nie pomyślała nawet, by zbliżyć się do nich i wejść do środka. Skąd miałaby wziąć siłę, by zrobić tak zbędną rzecz? Nie wie też, że mieszka tam bogini miłosierdzia.

Tak, to świątynia Guanyin[99].

Z rzeźbionych belek spogląda na miasto prastary symbol Smoka. To do niego należy ta kraina. Jest siłą, której nikt nie potrafi pojąć ni zatrzymać w miejscu, a która przenika przez ogień, powietrze i wodę z niezmienną łatwością. W półmroku między filarami świątyni, na stuletnim malowidle, walczy ze swym odwiecznym wrogiem — tygrysem. Nierówna to walka. Tygrys ryczy, rozdziawia szerokie, białe szczęki, lecz jego wściekłość jest daremna. Stały grunt, skała i ziemia nigdy nie pochwycą ruchliwych żywiołów. Jak to, co skończone, ostatecznie ukształtowane i dające się zmierzyć, może w ogóle sądzić, iż pokonało coś, czego nie zdoła zawrzeć w sobie nawet nazwa?

Lecz o takich sprawach Puh-li nic nie wie. Skończoność to dla niej: „Wstawaj, noc już minęła!". Zaś nieskończoność to czas pracy, kiedy godzina za godziną, godzina za godziną, i tak przez godzin czternaście, zwalcza się sprzeczną z kontraktem ochotę, by położyć się tu, na podłodze, natychmiast, i zasnąć tuż obok kadzi do namaczania kokonów.

Za drzwiami świątyni, w której Puh-li nigdy nie była, stoi kadzielnica z brązu. Stara, ma pewnie z tysiąc lat, a gdy znaleziono ją dawno temu i wydobyto z ziemi, świętowała cała okolica. „Patrzcie, powracają wielkie czasy, nasi przodkowie wciąż są z nami, to dobry omen!". Na trzech prostych nogach spoczywa nieporuszona misa, ozdobiona znanymi kształtami. To coś więcej niż ornament. Każdy znak, niezrozumiały dla obcego, odnosi się do świętych prawd, a w czasie, gdy myśli zyskały głębię dzięki szeregom mędrców, również znak przeszedł zróżnicowany rozwój, zachowując wszakże ten sam odziedziczony, uświęcony pierwowzór. Zarazem jest to jednak ornament, i to tak dobrze wkomponowany, że każda linia i każdy cień stanowi szczęśliwie znaleziony element, podkreślający żywą całość. Takich pięknych rzeczy dzisiaj już się niemal nie tworzy. Ach, jaki to był prężny, twórczy czas — czas Konfucjusza[100] i Laoziego[101] — lecz wszelkie nowości spajały się ze sobą i z tym, co stare, formując jedną wielką budowlę, której poszczególne zdobienia śpiewały pieśń pochwalną na cześć całości.

[99] *Guanyin* — główna bogini dalekowschodniego panteonu buddyjskiego, czczona także w ludowej religii jako bogini miłosierdzia, litości i płodności. [przypis edytorski]

[100] *Konfucjusz* (551–479 p.n.e.) — chiński filozof, twórca konfucjanizmu. [przypis edytorski]

[101] *Laozi* — półlegendarny chiński filozof żyjący prawdopodobnie w VI w. p.n.e., twórca taoizmu. [przypis edytorski]

Obrzędy, Ofiara

Czterech niebiańskich strażników szczerzy zęby zza swoich zbroi, z mieczem na pół wyciągniętym z pochwy każdy strzeże swojej strony świata. Niebo i ziemia były kiedyś uporządkowane i ujęte w karby; istotom wyznaczono granice i wszystko pozostawało ze sobą w harmonii, aż po najcieńsze źdźbło trawy kołyszące się na wietrze. Czyż nie odbiłoby się to na losach ludzi, gdyby cesarz nie posiadał którejś z cnót? Czyż nie umknęłoby to członkom rodziny, gdyby jej ojciec zaniedbał składania ofiary? Żywych łączyły — ze sobą nawzajem i ze światem duchów — trwałe więzi. Na ołtarzu nieba ofiary składał cesarz, na ołtarzu przodków — ojciec rodziny; każda z tych części była nieodzowna i została ustanowiona od zarania dziejów. Nawet demony nie ważyły się przemykać którąkolwiek drogą — niebiańscy strażnicy z na pół obnażonymi mieczami pilnowali porządku.

Również jedwabniki, rojące się jedwabniki, miały swoje święte, określone miejsce w porządku świata. I tak jak cesarz każdego roku wbijał pług w ziemię — pradawny akt, starszy od wszystkich mocarstw świata, który przetrwa ich istnienie — tak cesarzowa, podążając za tysiącletnim rytuałem, składała ofiary Yuenfi, bogini jedwabników. W owych czasach nie było jeszcze fabryk; jedwab tkano w domach. Obecnie tkanie jedwabiu coraz bardziej staje się rzeczą fabrykanta, jego oraz Yuenfi, bo oto nadciąga wolność.

Sierota, Samotność

A dzieckiem wolności jest Puh-li. Matki nie pamięta wcale, ojca — ledwie, ledwie, zaś brat ją tu zostawił, bo co miał zrobić? Ona nie przynależy właściwie nigdzie. Gdyby jutro zachorowała i zmarła, może by i westchnęli w domu, lecz byłoby to westchnienie tak żalu, jak i ulgi. Dzieci, z którymi pracowała w fabryce, nie miałyby czasu za nią tęsknić. Brygadzista może by się zdenerwował, ale zaraz i tak dostałby kogoś nowego. Ubogich dziewczynek nie brak.

Bogini

W głębi ponad ołtarzem siedzi sama Guanyin; wygląda łagodnie w welonie i gęsto drapowanej szacie, z rękami spoczywającymi na kolanach. Pierwotnie była bóstwem męskim, lecz z czasem stała się kobietą, by w końcu na wizerunkach trzymać dziecko w ramionach Bo jak inaczej miałby wyglądać wieczny pierwowzór Miłosierdzia?

Po obu stronach jej ciemnego wyobrażenia z brązu wiszą malowidła świętych, które wyszły spod ręki słynnego mistrza — portrety dwóch świętych mężów, każdy w złotej aureoli na tle dzikiego krajobrazu gór. Mają twarze o obcych rysach, orle nosy, gęste, czarne brody — to pamiątka po ojczyźnie Guanyin i wielu innych bóstw, Indiach. Szczęśliwi oni, zostawili za sobą przemijanie, cierpienie i pustkę; wyrwali się z kołowrotu życia. Dotarli na drugi brzeg. Wkrótce na ich oczach, które odzyskały wolność, rozproszy się ułuda. Szczęśliwi oni, nie mają już nic wspólnego z tym światem, którego udręki zmusiły ich do ucieczki. Teraz otacza ich wielka cisza gór, a za kilka lat nie dosięgnie ich żadne wołanie. Oto przekroczyli próg nieprzekraczalnego — próg nirwany.

Lecz Guanyin jeszcze słucha. Jej ciemna postać siedzi nieruchomo, w obramowaniu romantycznych górskich krajobrazów ze świętymi mężami. Na jej ustach spoczywa nieruchomy uśmiech. Jest tą, która słucha modlitw.

Miłosierdzie

Guanyin, ty, o której powiadają, że jesteś obecna w każdym widoku wzbudzającym miłosierdzie, o której mówią, że jesteś wszędzie tam, gdzie żali się choćby komar — doprawdy nie słyszysz żadnego dźwięku dobiegającego z ust Puh-li, z ust tysiąca dzieci przy kadziach z ukropem? Czyż Puh-li nie jest warta nawet tyle co komar, o Miłosierna? To prawda, że w Chinach jest niezliczona liczba dzieci, podaż przewyższa popyt, lecz ty, Guanyin, nie posługujesz się chyba kategoriami zachodniej makroekonomii? Czy też istotnie zamknęłaś oczy na świat, zmęczona nadmiarem żalów? Woła cała ziemia, z ust żywych niesie się wielki krzyk. Musisz spać, Guanyin, inaczej ów spokojny uśmiech nie utrzymałby się na twoich ustach.

A jednak przedstawiają to tak:

„Guanyin zatrzymała się na progu nirwany, rozejrzała się i zobaczyła świat zalany cierpieniem. Wtedy złożyła świętą przysięgę: «Póki wszystkie istoty nie osiągną zbawienia, póty nie przekroczę progu nirwany».

I tak pozostała wśród nas wszystkich. Wyrzekła się ostatecznego wygaśnięcia w nirwanie, ponieważ była jedną z nas".

Lecz o takich sprawach Puh-li nic nie wie.

Na wzgórzu, ponad dachami domów, jaśnieje świątynia obcych — kaplica anglikańska. W słońcu połyskuje krzyż na kalenicy. Puh-li nie wie, co on właściwie oznacza, wie tylko, że dla obcych jest on znakiem.

Puh-li, to jest narzędzie męki.

W kaplicy taki sam znak znajduje się nad ołtarzem; wisi na nim umierający mężczyzna z koroną cierniową na czole. Cóż on takiego zrobił? Uzdrawiał chorych i prosił ludzi, by nie tracili otuchy, bowiem nadeszło *nowe* — nowe królestwo, nowy duch... Ale, jak widzisz, źle to się dla niego skończyło. On też był jednym z nas.

Lecz od tamtego czasu ów nowy duch zdążył się rozprzestrzenić. Istnieje on już wśród białych obcych, a teraz, dzień po dniu, rozpowszechnia się również wśród żółtych ludów. Jest zupełnie różny od wszystkiego innego.

Bowiem Konfucjusz powiedział: „Czegokolwiek nie chcecie, aby wam ludzie czynili, i wy im nie czyńcie"[102].

Chrystus zaś mówi: „Wszystko tedy, cokolwiek chcecie, aby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie!"[103].

I to jest właśnie owa wielka różnica między Wschodem a Zachodem: gdy Wschód znieruchomiał w pasywnej sympatii, Zachód kroczy zdecydowanie naprzód z gorliwą, służebną miłością, z aktywnym miłosierdziem. Dlatego to dobry znak, że Zachód rzeczywiście podbija Wschód. Nie tyle w znaczeniu dosłownym — wszak zwycięstwa wcześniej wywalczone żelazem i złotem obróciły się wniwecz za sprawą gniewnych buntowników — lecz technologia Zachodu, jego system pracy, a tym samym również ideały Zachodu tworzą właśnie nowego, wydolnego ducha tam, daleko, w starej, pogrążonej we śnie bajecznej krainie.

Lecz z tego wszystkiego Puh-li zauważa niewiele, bo o jej wydolności można powiedzieć tyle, że raczej słabnie.

Szkoda, Puh-li, że tak małe są szanse, byś kiedykolwiek weszła do tej kaplicy. Oprócz wizerunku Chrystusa, który być może cię przeraża, bo nie nawykłaś do takich obrazów — nie bój się, Puh-li, to wydarzyło się tak dawno temu — jest tam wiele innych pięknych rzeczy, które warto zobaczyć. Na ołtarzu znajduje się świecznik siedmioramienny, wykonany na wzór tego, który stał kiedyś w Świątyni Jerozolimskiej[104]. W nim możemy zobaczyć uszlachetnione dziedzictwo Babilończyków[105] — tych, którzy budowali siedmiostopniowe świątynie dla siedmiorga świetlistych bóstw ciał niebieskich. A widziałaś kamiennego lwa, który stoi tu przed bramą miejską? Nie? To coś ci powiem. Najbardziej zadziwiające w owym zwierzęciu jest to, że na grzbiecie wyrastają mu z łopatek skrzydła, tak jak w niezwykłych posągach lwów i byków o ludzkich twarzach, znalezionych w Mezopotamii; tam, daleko, są lwy, lecz tu, w Chinach, ich nie ma. Wiesz, co myślę? Że ten prastary lew przed bramą miasta jest spokrewniony z cherubami, które na swych plecach niosły Jahwe... I tak ostatecznie nasze korzenie, moje i twoje, Puh-li, sięgają źródeł tej samej tradycji...

Lecz Puh-li nie rozumie. Ona tak słabo zna tradycje swego ludu. Jest dzieckiem fabryki. Nie ma korzeni.

W takim razie, mała Puh-li, nie mamy ze sobą nic wspólnego. Anemiczny humanitaryzm do mnie nie przemawia, już lepszy jest po męsku szorstki humanizm. Mogę żywić szacunek dla starej, niezwykłej cywilizacji, nawet jeśli jej nie rozumiem i zwalczam jej ducha, lecz dla jedwabnika, który nawet nie wytwarza jedwabiu, nie mam ani krzty zainteresowania.

---

[102] *Czegokolwiek nie chcecie, aby wam ludzie czynili, i wy im nie czyńcie* — słowa Konfucjusza Karin Boye przytacza w powieści jako (szwedz.): *Allt vad I icke viljen att andra skola göra eder, det skolen I icke heller göra dem*, zatem istotnie są one niezwykle podobne (różni je tylko użycie przeczenia) do szwedzkiego przekładu słów Jezusa z Kazania na Górze (Mt, 7:12): *Därför, allt vad I viljen att människorna skola göra eder, det skolen I ock göra dem*, „Wszystko tedy, cokolwiek chcecie, aby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie" (Mt 7:12, cytat za *Biblią Wujka*). Nie można jednoznacznie stwierdzić, jaki przekład *Dialogów Konfucjańskich* czytała Karin Boye (czy też inne źródło). Według informacji podanych w Szwedzkim Leksykonie Tłumaczy (*Svenskt översättarlexikon*) przekład *Dialogów…* został w Szwecji opublikowany w 1949 roku (czyli po śmierci autorki), nie ma danych o wcześniejszych przekładach. Zatem raczej chodzi tu o świadome upodobnienie tych złotych reguł. [przypis tłumacza]

[103] *Wszystko tedy, cokolwiek chcecie, aby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie!* — Mt 7:12 (cytat za *Biblią Wujka*). [przypis tłumacza]

[104] *Świątynia Jerozolimska* — jedyna świątynia judaizmu stojąca dawniej w Jerozolimie. [przypis edytorski]

[105] *Babilończycy* — mieszkańcy Babilonii, starożytnego państwa semickiego w Mezopotamii, znajdującego się na terenie dzisiejszego Iraku. [przypis edytorski]

Panna Jansson ubiera manekiny w jedwab, w kwietną materię z Dalekiego Wschodu — pozdrowienie od bajecznych królowych z krainy świtu, od tancerek w pobrzękujących bransoletach i od uroczych, filigranowych gejsz, grających dawne, radosne pieśni na *shamisenie*[106]. Pozdrowienie, a zarazem znak przyjaźni i podziwu, które w naszych czasach łączą naród z narodem, kontynent z kontynentem, kulturę z kulturą. Nie odtrącajcie tego pozdrowienia, noście jedwab, wypróbujcie naszą nową, wykwintną miękkość i przyjemną jakość!

Biały sen

Chociaż mieszkanie kierownika działu reklamy, pana Landersa, mieściło się w nowoczesnym budynku, było wystarczająco przestronne na potrzeby wydawanych przez niego dużych kolacji.

Dom

Nowoczesny dom! Pani Landers nie odpowiadała nowoczesność. Okna zajmowały całą ścianę pokoju, tak że mieszkało się niemal na zewnątrz. System grzewczy i wentylacja działały wprawdzie bez zarzutu, lecz owo poczucie, że przebywając w samym środku własnego domu, jest się mimo wszystko w świecie zewnętrznym, stawało się na dłuższą metę nie do zniesienia. Strumienie światła to zaleta w biurach i fabrykach, gdzie trzeba oszczędzać prąd i wzrok, lecz w domowym wnętrzu zbyt duża jasność ma w sobie coś drażniącego. W swoim gniazdku chciałoby się schować głowę pod skrzydło, zapomnieć, że dokoła istnieje coś poza nim, być szczęśliwym.

Na takie właśnie małe, ciepłe gniazdka można natrafić przy najbardziej hałaśliwych ulicach wielkiego miasta: pokoje o ciężkich zasłonach i miękkich dywanach, w których zamiera dźwięk; mieszkania, wiecznie pogrążone w mroku, w których to lampa podłogowa, a nie słońce, stanowi najważniejsze źródło światła. Podobnie restauracje — niewielkie lokaliki w dawnym stylu, z przytłumionym oświetleniem nad stolikami i dziełami sztuki na ścianach, dzięki którym dusza może zatrzymać się w biegu i odpocząć wśród tego, co prawdziwie trwałe, co za tysiąc lat będzie równie cenione jak teraz, lokaliki, w których podaje się potrawy o najosobliwszych, poetyckich nazwach, dzięki czemu nawet tak substancjalna przyjemność, jaką jest zaspokajanie apetytu, zostanie doprawiona aromatem najpiękniejszych fantazji. A goście w blasku płomienia, drgającym nad czarnym świecznikiem, wycofują się do swojego świata niczym ślimak, który chowa się w skorupie.

Nauka

Tak samo postępuje badacz.

Budzi się późno — a ci, którzy to wiedzą, mówią: „Co za leń!". Lecz to dlatego, że światło dzienne rozprasza jego uwagę, przyciąga jego wzrok do szerokiego świata, który jest zbyt dużym obszarem poszukiwań jak na pracę jednego człowieka. Dopiero wieczorem, gdy zapada zmrok, gdy pali się lampka, dopiero wtedy może on pracować wedle swojej woli. W niewielkim kręgu światła skupia się cały jego świat, to tam zagłębia się on w rozmaite zagadnienia, zaś na zewnątrz panuje ciemność, która nie odciąga oczu od książki i papieru. Siedzi tak do późnej nocy przy biurku oświetlonym lampką. Ale gdy nadchodzi właściwy czas, otwiera okno, a jego odkrycia i myśli wyfruwają przezeń niczym drobne, żywotne nasionka, by w promieniach słońca wykiełkować i rozrosnąć się w drzewa.

Obrzędy, Słowo

Tak samo jak badacz postępuje też czarownik i zaklinacz. Zakreśla kredą krąg i rysuje pentagramy; w kręgu żarzy się palenisko, a poza nim jest mrok. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to kruchy mur, zbudowany pociągnięciem kredy — taką linię nawet dziecko wymaże jednym ruchem ręki. I ona miałaby chronić przed monstrami o ognistych oczach w ciemności poza kręgiem? Lecz kreda sama w sobie to jedynie zewnętrzny znak; tym, co działa, jest słowo, wszechmocne słowo, które zdaje się być poruszeniem na wietrze, jeszcze bardziej ulotnym niż rysunek — a jednak posiada tajemnicze moce. I kiedy istoty zrodzone z żywiołów szaleją dokoła i przetaczają się niczym nocna burza, zaklinacz stoi bezpieczny w swym kręgu ze słów i kredy, przewodzi i panuje nad tym zgiełkiem, który jemu nie czyni szkody. Od groźnych mocy potrafi wymusić dla siebie chwałę, władzę i złoto — spokojny w swej osłonie ze słów.

Sen

I to samo wreszcie dzieje się z tym, kto śpi. Ubogi jest świat jawy, a ludzkie impulsy, zróżnicowane i bezkresne, tłoczą się jedne z drugimi, zadeptują, obijają się o jego mury

[106] *shamisen* a. *samisen* (jap.) — japoński strunowy instrument muzyczny. [przypis edytorski]

aż do odrętwienia i bezwładu. Lecz każdy człowiek ma własny klucz do swojej krainy, gdzie nic nie jest takie jak tu, gdzie to, co minione, zmartwychwstaje do nowego życia, gdzie najbardziej szalone i nierealne pragnienia ukazują się w fantastycznej postaci, gdzie egzystencja podlega innym prawom niż te, które z takim trudem zgłębiamy dla naszego wspólnego świata. Biedni wszyscy ci, którzy nie śpią! Żadna ulga nie może równać się z tą, jaką daje miękkie, powolne pogrążenie się z dala od rzeczywistości, w której co dnia poświęcamy dającą orzeźwienie iluzję w zamian za niedojrzałe, kwaśne jabłka z drzewa poznania.

Tak samo urządzony był stół na kolacji u Landersa. Duże okna zostały ukryte za ciemnymi zasłonami, a jedyne światło pochodziło z ustawionych na nim przytulnych, niskich lampek. Z niewysokich żardinier groszek pachnący wylewał się całymi naręczami niczym wieczorne obłoki, a szmer rozmów wznosił się i opadał falami, przecinanymi z rzadka — lecz nie przerywanymi — dźwiękiem klaksonu czy dzwonkiem tramwaju, dobiegającym z ulicy.

— Będzie z tego spęd kulturalny — stwierdził wcześniej Landers, układając listę gości.

Elita

I rzeczywiście był to spęd kulturalny. Siedzieli tu tego wieczora wszyscy ci spośród dawnych jego kolegów z politechniki, którzy doszli do czegoś i z którymi utrzymał kontakt. Wielu artystów, w tym co najmniej dwa pierwszorzędne nazwiska, kilku dziennikarzy — wśród nich najmłodszy, Tage, który właściwie nie do końca tu pasował, lecz do innej konfiguracji przystawałby jeszcze mniej — kilku naukowców, między innymi słynny geolog, profesor Filip, oraz kilku pisarzy, z najznamienitszym pośród nich Vilhelmem Bergiem na czele. A do tego dochodziły przecież jeszcze panie — żony i córki, które uzyskały tytuł i wyniesienie na piedestał świata kultury poprzez wytworne stosunki towarzyskie swych mężów i ojców, będąc zarazem kobietami w wystarczającym stopniu, by ich łopatki i ramiona, a nawet prowadzone przez nie rozmowy sprawiały, iż w żyłach mężczyzn krążyły elektryzujące pierwiastki. Wykwintny zapach starego wina, starej kultury i starego, prastarego instynktu — a wszystko to w osłonie szczelnych draperii i kręgu łagodnego światła wokół tchnących spokojem lamp.

Wśród najmniej znacznych siedzi Tage, w milczeniu spoglądając na Britt, która roztacza swój majestat u boku Bäfvera, portrecisty. Jest dziś tak piękna jak groszek pachnący; i to mimo że ma na sobie czerń (nosi, rzecz jasna, żałobę). To miękki jedwab w czarnym kolorze, który ściśle i czule opływa młode ciało i sprawia, że szyja jeszcze bardziej lśni bielą, a włosy falują jeszcze bardziej puszyste i jasne niż zwykle. „*Such stuff as dreams are made of*"[107], cytuje Tage pod nosem.

Rozmowa przypomina rój pszczół, wesołych, złotych pszczół, ale pszczół wykształconych.

— O, tak — rozlega się czysty głos (to z pewnością profesorowa Filip). — Podobała mi się jako lady Makbet[108], w takich rolach sprawdza się najlepiej, ale ogólnie rzecz biorąc, to jej nie lubię. Nosi się zbyt ekstrawagancko, a w dodatku jest podobno rozwiązła, tak słyszałam.

Tymczasem redaktor Relander pochyla się ku swej towarzyszce z uśmiechem augura[109]:

— A co pani Bäfver sądzi w takim razie o jego ostatnim tomiku?

— Regres, zdecydowanie regres. No, ale to już starość, niestety nikt nie jest wiecznie młody. Nigdy już nie powróci na dawne wyżyny. Jest w tym istotnie coś poniekąd tragicznego, że wielcy starzy wieszczowie mogą konkurować tylko z własną przeszłością.

— Ależ, proszę tak nie mówić. Nie zwróciła pani uwagi na tych kilka wersów w *Morskiej aurze*?

---

[107] *Such stuff as dreams are made of* — „Jesteśmy surowcem, z którego sny się wyrabia", cytat z komedii *Burza, Zimowa opowieść*, której autorem jest William Shakespeare (1564–1616), w przekładzie Stanisława Barańczaka (1946–2014). [przypis edytorski]

[108] *lady Makbet* — bohaterka tragedii *Makbet*, której autorem jest William Shakespeare (1564–1616). [przypis edytorski]

[109] *augur* — w starożytnym Rzymie kapłan obwieszczający wolę bogów; człowiek uważający się lub uważany za wyrocznię w określonej dziedzinie. [przypis edytorski]

„Glonów wstęgi
Złote kręgi
Kołysany falami las".

O czymś takim właśnie mówi się „*poésie pure*"[110], pani Bäfver.

Profesor Suneson (z Akademii Sztuk Pięknych), nieco ociężały, odchyla się na oparcie krzesła, zwraca głowę w bok i inicjuje przemówienie:

Upadek, Piękno, Dziedzictwo

— W naturze Szweda nie leży skłonność do skrajności, widzimy to od stuleci. Natura Szweda ma w sobie spokój i rozsądek, które to cechy są nie do przecenienia. Stąd nie wydaje mi się, by owa estetyczna maszkara, jaką jest płaski dach, zdołała kiedykolwiek u nas się zadomowić. Można by wyrazić to tak: rzecz to wiadoma, że kapelusza domaga się głowa! W dniu, w którym tak ewidentnie racjonalne rozwiązanie zostanie porzucone, o, tak, wtedy powiem za Spenglerem[111], że to *Untergang des Abendlandes*…[112]. Coś takiego może zdawać się drobnostką, lecz jest to kwestia głęboko symboliczna. Poczucie piękna to zaiste krystalizacja naszej egzystencji, jej rdzeń, samo uzasadnienie naszego istnienia. Bo przecież właśnie to będzie stanowić dziedzictwo przekazywane potomnym…

Tage siedział w milczeniu, wychwytując ułamki ze szmeru rozmów. Czuł, że jest w nastroju. Czuł, że tu pasuje. W swoim przekonaniu dostał się, jeśli jeszcze nie do najświętszego sanktuarium, to przynajmniej do jednego z jego przedsionków. Ileż to razy czytał o tej czy innej znakomitości i patrzył na ich podobizny w gazecie… A teraz ci ludzie siedzieli tutaj we własnej osobie — zaś pod jednym dachem z nimi on, Tage, i uczestniczył w ich rozmowach i myślach. W jego pamięci odżyło wspomnienie — gdzie też to widział? Wielka złota korona, unosząca się nad miastem. Czy to były trzy korony na wieży ratusza[113]? Nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, ale ów obraz coś znaczył, oznaczał potęgę, której poświęcił życie… Kulturę. Ducha.

Tego wieczora wygłoszono już wiele przemów. Jowialny Landers nie przywiązywał dużej wagi do konwenansów, wolał, by goście mówili i poruszali się ze swobodą spod znaku Bachusa[114]. A ci, wyczuwając jego preferencje, wygłaszali przemowy o wszystkim, co tylko przychodziło im do głowy i rozpalało serce.

Jednakowoż Tage Werin wywołał nie w pełni chlubne poruszenie, gdy oto podniósł się z miejsca z jednoznacznym zamiarem wygłoszenia przemowy i zaczął mówić o mężczyznach znanych i szacownych, których widział wokół siebie. O tym, jak to wcześniej oglądał ich podobizny. Czytał ich najznamienitsze dzieła. Jak to on, młody człowiek, podziwiał tych wszystkich…

Jego przejęcie udzieliło się pozostałym. Może i sprawiało to wrażenie niestosowności, lecz był to jednak głos płynący z głębi czułej duszy; a dlaczegóżby młodzież nie mogła jak inni wypowiedzieć swych myśli, szczególnie w tych czasach i tym bardziej, że owe myśli były w swej naturze tak wysublimowane?

Tage zaś mówił dalej, aż zatrzymał się przy Vilhelmie Bergu, szacownym pisarzu. To nazwisko! Te dzieła! Czyż nie jest on prawdziwym symbolem naszego życia kulturalnego w całej jego rozciągłości? I wzniósł toast za Vilhelma Berga, symbol uprawy ludzkiego umysłu.

Pito z uśmiechem, lecz nie bez aprobaty. Piękna ta młodzież.

Wtedy wstał sam Vilhelm Berg. Podjął rękawicę. Zrobiło się ciekawie, bo wielki pisarz był nieprzewidywalny.

---

[110]*poésie pure* (fr.) — poezja czysta; termin ten odnosi się do poezji rozumianej jako zjawisko intuicyjne, związane z przeżyciami i niezależne od intelektu. [przypis edytorski]

[111]*Spengler, Oswald* (1880–1936) — niemiecki filozof kultury i historii. [przypis edytorski]

[112]*Untergang des Abendlandes* (niem.) — *Der Untergang des Abendlandes. Umrisse einer Morphologie der Weltgeschichte* (*Zmierzch Zachodu. Zarys morfologii historii uniwersalnej*), dzieło Oswalda Spenglera (1880–1936) opublikowane w 1922 r. [przypis edytorski]

[113]*ratusz* — (szwedz. *Stockholms Stadshus*, *Stadshuset*), wybudowany w latach 1911–1923 ratusz w Sztokholmie, którego główna wieża zwieńczona jest iglicą z trzema pozłacanymi koronami, stanowiącymi element szwedzkiego godła narodowego, sam budynek natomiast jest jedną z architektonicznych ikon Sztokholmu. [przypis tłumacza]

[114]*Bachus* — w rzymskiej mitologii bóg płodności, dzikiej natury, teatru i wina, odpowiednik starogreckiego Dionizosa. [przypis edytorski]

— Pan (pan?)... Tak, no więc pan Werin zwraca się do mnie jako do symbolu uprawy ludzkiego umysłu? — zaczął Vilhelm Berg. — Zwraca się do mnie jako do pisarza? Ja jednak odmawiam przyjęcia tego toastu. Oddam go komu innemu. Przecenia się nas pisarzy! Jak gdybyśmy w rzeczy samej mieli znaczenie dla wielu więcej niż jeden czy dwóch ludzi! Jak gdybyśmy mogli wymagać, by choć jeden z naszych czytelników zrozumiał, co kryje się za choćby jedną linijką w publikacji obwołanej książką roku! I tak właśnie powinno być. Te ubogie rymy i rytmy — i myśli! — jakie wydobywamy z siebie pod naporem własnego lęku, nie mają aż tak wielkiego i złowróżbnego znaczenia dla nikogo innego poza tym, kto je pisze. Ze źródła wydobywa się strumień fontanny i tryska wysoko w górę — zatem doprawdy, czyż, będąc człowiekiem oświeconym, powinno się postawić ołtarz ku czci owego potężnego, migotliwego strumienia, zamiast powoli napełniać swój dzban i mówić: „Patrzcie, tutaj, na takiej, a takiej głębokości znajduje się odległe źródło. Na skutek właściwości skorupy ziemskiej dotarła tu woda, a ciśnienie wypycha ją wysoko we górę". Cóż, profesor Filip zna się na tym lepiej ode mnie. Zadziwiające widowisko. I anormalne. Mimo to pokusiłbym się o następującą odpowiedź:, tak, literatura, zmyślenie, jest jądrem kultury. Dlatego że kultura to jeden wielki poemat. Lecz jest to poemat powstały z materii cenniejszej niż słowa, poemat powstały z krwi i kości, z żywych dusz żywych ludzi. W tej godzinie świat jest (zapewne zawsze był i zawsze pozostanie) nieprzerwanym strumieniem cierpień i nieczystości. Szczęśliwy ten, kto nie marnotrawi duszy, pozwalając, by biały sen w jego wnętrzu zmieszał się z mrokiem świata zewnętrznego. Nawet ci nieliczni, którzy brną przez *Inferno*[115], jak gdyby było ono tylko koszmarem, z którego wkrótce można się wybudzić, u boku Wergiliusza[116] i Dantego[117], potrzebują, aby nie zatonąć w odmętach, owego snu, białego snu, bardziej rzeczywistego niż groźna rzeczywistość. A Beatrycze[118], najbardziej niebiańskie zmyślenie wszech czasów, ukazuje się jako opiekuńcza gwiazda. Prawdziwa, rajska rzeczywistość, którą szaleniec nazwie zmyśleniem, a która chroni przed tą fałszywą, przed *Infernem*. To właśnie jest najbardziej immanentne jądro kultury. Ci, którzy, w swoim przekonaniu, dostrzegają przebłysk jego treści w postępach techniki, o ile nie służą Beatrycze za aureolę nad głową bądź rydwan pod stopami, to barbarzyńcy. A ci, którzy widzą ową treść w utopijnej walce o rzeczy tego świata, walce skazanej z góry na porażkę, walce, która bruka dusze walczących nienawiścią i brakiem spokoju, są tak samo barbarzyńcami! Za wielki poemat kultury, powstały z krwi i kości, i ducha, chcę wznieść dziś toast. O, boskie wino, co przytępiasz wrażliwość zmysłów na otoczenie, a zarazem wzmagasz przenikliwość ducha w obliczu innego świata! Drogie panie! Panowie! Wznieśmy toast za młodą córkę tego domu, a raczej córkę przybraną; za nią i za boski poemat kultury, który ona ucieleśnia!

Literat, Poezja

Obraz świata, Piekło, Sen, Walka

Zakończenie nadeszło niespodziewanie, tym niemniej wzbudziło zachwyt. Wszystkie kieliszki powędrowały w górę, a wino rozżarzyło się w nich rozjaśnione od spodu światłem. Wszystkie oczy zwróciły się ku Britt, a ta, zarumieniona, w odpowiedzi również uniosła kieliszek ruchem w swej doskonałości tak pięknym, że obecni wstrzymali oddech — choć w istocie nie wyrażał on niczego — ni dumy, ni nieśmiałości; ni sympatii, ni wrogości. Nie wyrażał niczego poza oczywistą świadomością własnej doskonałości.

[115] *Inferno* (wł.) — *Piekło*; tytuł jednej z części *Boskiej komedii*, której autorem jest Dante Alighieri (1265–1321). [przypis edytorski]

[116] *Wergiliusz* właśc. Publiusz Wergiliusz Maro (70–19 p.n.e.) — rzymski poeta. [przypis edytorski]

[117] *Alighieri, Dante* (1265–1321) — włoski poeta, filozof i polityk. [przypis edytorski]

[118] *Beatrycze* — bohaterka *Boskiej komedii*, której autorem jest Dante Alighieri (1265–1321). [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3..
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boye-astarte/

Tekst opracowany na podstawie: Karin Boye, Astarte, tłum. Paulina Rosińska, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2025.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Projekt dofinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jednak wyłącznie poglądami autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury. Ani Unia Europejska, ani organ przyznający dofinansowanie nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Monika Kępska.

ISBN 978-83-288-7959-1

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.